Nr. 3.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XVIII.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1912.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Kor., (7 Mk.)**; dla Ameryki **8 Kor.**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1912 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

NR 3

Z podróży wizytacyjnej Ks. Wizytatora w Brazylii.

(Dokończenie).

Kolonia Ijuhy położona przeszło 50 km. na północny zachód od Cruz Alta rozłożyła się nad górnym biegiem rzeki tejże nazwy. Obecnie ma już połączenie kolejowe z tem miasteczkiem, co zapewnia jej pomyślny rozwój. Połowa jednak tej linii kolejowej była dopiero ukończoną w czasie mej podróży, a dalsza linia wówczas nie wykończona, dzisiaj już zdaje się jest otwarta. Skorzystaliśmy z części linii już gotowej i dojechaliśmy do Fachinal, stacyi w połowie drogi do Ijuhy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zdołaliśmy nająć włocha furmana, który wśród ulewnego deszczu zawiózł nas do Ijuhy. Kolonia ta liczy około 18 lat swego istnienia, a należy do najobszerniejszych kolonii rolniczych w tym stanie. Ludność jest mieszana. Przeważają Polacy, za nimi liczbą idą Niemcy, przeważnie protestanci, Włosi, kilkadziesiąt familii litewskich i nieco Brazylian, którzy się koncentrują najwięcej w t. zw. sede t. j. centrum kolonii, gdzie rezydują „władze“. Ziemia tu przeważnie dobra, śliczne są łany kukurudzy, piękne winnice, obficie się rodzi trzcina cukrowa. Wielkie źródło dochodu kolonistów stanowi chów trzody chlewnej, z której mięso wędzone i smalec przetapiany, wysyłany w dużych blaszanych naczyniach do miast, nie małe im przynosi korzyści. Niestety obfitość kaszasu t. j. wódki pędzonej z trzciny cukrowej, jest nieszczęściem tej kolonii. Plaga ta nadzwyczaj bolesne zrobiła tu na mnie wrażenie. Smutno także było patrzeć na pięknie obrobione grunta, na których ładne stoją budynki i dowiadywać się czę-

sto, że las tu wykarczowali i grunta obrobili Polacy, a częściej jeszcze Litwini, dzisiaj zaś gospodarują na ich miejscu wygodnie Niemcy. Ta sama historya, jaką widziałem w Massarandubie w S. Catharina. Nasi po 4—5000 milreisów sprzedali obrobione swe gospodarstwa Niemcom i poszli znowu głębiej w lasy zaczynać na nowo. — Stan moralny i oświatowy nie pocieszał też nas. Kościółek katolicki w centrum kolonii, wewnątrz zwłaszcza bardzo biedny, a naprzeciwko niego po drugiej stronie jakoby rynku wznosi się właśnie murowany, duży zbór protestancki. — W sąsiedztwie polskiego kościoła jest szkoła, ale niemiecko-brazylijska przez rząd wspierana, w której uczy niemiec protestant. Ze szkoły polskiej, która tu była, został psujący się budynek opustoszały. Uczył tu kiedyś zwolennik „myśli niepodległej“ Zgraja, który obecnie daleko na ósmej linii tej kolonii uczy w szkole niemiecko-brazylijskiej i wydaje gazetkę p. t. „Kolonista“, której podobno na szczęście nikt nie prenumeruje. Na linii szóstej ma szkołę polską, a przytem „wendę“ Szóstkiewicz. — Duszpasterstwo sprawuje ks. Antoni Cuber pochodzący z Górnego Śląska, który jako świeżo wyświęcony kapłan przybył tu z Rzymu przed 15 laty i objął pieczę duchowną nad świeżo osiedlającymi się Polakami. Nie zastaliśmy go w domu przybywszy tu w wigilię Matki Boskiej Gromnicznej pod wieczór, gdyż wyjechał na daleką linię szóstą, gdzie jest mała kapliczka, aby dla tamtej części kolonii odprawić nabożeństwo. Wskutek tego i wskutek innych trudności nie mogliśmy niestety nic zrobić dla ludu w kościółku, choć bawiliśmy tu blizko całe 3 dni. Na samem wyjezdnem dn. 4 lutego poznaliśmy go, gdyż wrócił wtedy do domu. Przy pomocy zacnego p. Andrzeja Pitasa stolarza, który nam w swym domu ofiarował gościnę, zwiedziliśmy tę rozległą kolonię, przyjmowani serdecznie w niektórych domach litewskich i u poczciwego niemca katolika Schreibnera. Poznaliśmy też młodego kandydata do stanu duchownego z tej kolonii p. Stanisława Wolskiego, który jest w seminaryum w Porto Allegre na filozofii, a obecnie bawił tu u swej

matki na wakacyach. Drugi kleryk Polak w temże seminaryum ks. Jan Peres-Hamaski dyakon, także stąd pochodzi, ale rodzice jego poszli w ślad wielu innych Polaków, co porzucają kolonie, w które włożyli już dużo pracy, i przenoszą się gdzieindziej, by zaczynać od nowa i przenieśli się do sąsiedniej kolonii Guarany [1]. — Kolonia ta do której jest obecnie skierowany cały ruch emigracyjny, wysunięta o jakie 50 km. na zachód, położona jest również nad rzeką Ijuhy, która spływa do rzeki Uruguaju i obecnie przewyższyła już swą wielkością i urządzeniami kol. Ijuhy. Proboszczem jest tam ks. Gołębiowski wychowanek seminaryum w Porto Allegre. — Nie mieliśmy już czasu na zwiedzenie tej kolonii, bo trzeba było spieszyć z powrotem do Cruz Alta, aby się dostać do pociągu, który miał nas zawieźć do Parany. Dnia 6 lutego wieczorem stanęliśmy szczęśliwie w miasteczku Passo Fundo, gdzie przyjęli nas u siebie gościnnie O. O. Palotyni. W obrębie ich bardzo rozległej parafii są także rozprószeni po koloniach nieliczni Polacy. Pastorzy protestanccy z Porto Allegre robią tu w te strony ze szczególną gorliwością swe misyjne wycieczki, a między nimi niestety Polak-apostata St. —Superyor O. Rumpel opowiadał nam dużo o swych utarczkach z nimi.

Na drugi dzień rano, puściliśmy się w najniebezpieczniejszą część naszej podróży koleją, która dopiero co zaczęła biegu próbować na torze jeszcze niezupełnie skończoczonym przez prowizoryczne, nieraz liche wiadukty nad przepaściami przez teren lasów dziewiczych. Mieliśmy dotrzeć do rzeki Uruguaju, gdzie wpada do niej Rio do Peixe. Po całodziennej często karkołomnej jeździe przez tę trasę, której jeszcze daleko było do wykończenia, dotarliśmy wieczorem do celu i stanęliśmy na stacyi Alto Uruguay w kącie

---

[1] Obecnie jak się dowiaduję z listu ks. Wolskiego jest on już księdzem i objął duszpasterstwo w kolonii Mariana Pimentel, gdzie założył polską szkołę, w której sam uczy. — Z tego listu dowiaduję się, że założono w Ijuhy dwa polskie Towarzystwa i cztery szkoły.

nad szeroką rzeką, wśród wieńca uroczych gór, gdzie się schodzą granice Rio Grande do Sul, S. Cathariny i terytoryum spornego Parany. W tym dzikim zakątku nie było oczywista mowy dotychczas o jakichś mieszkaniach ludzkich. Teraz dopiero zaczęto stawiać jakieś schroniska i niby hotele dla podróżnych, którzy tu zaczną przyjeżdżać. W jednym takim hotelu na wysokiem wzgórzu, który zdążył dopiero sklecić ściany z otworami na okna i nakryć je dachem, poszukaliśmy na noc schronienia. Wspaniała była ta noc, którą przepędziliśmy pokotem w sypialni tego hotelu na górze, który miał na przestrzał otwory na okna, ale ani okien, ni okiennic, gdy straszna burza obijała się potężnemi echami o szczyty gór i oświetlała nas błyskawicą co chwila. Dziękowaliśmy Bogu, żeśmy szczęśliwie doczekali poranka, w którym o godzinie 4 już byliśmy w wagonie wiele wygodniejszym jak poprzednio. Mieliśmy odtąd jechać linią kompanii amerykańsko-francuskiej, gdy dotychczasowa najnowsza trasa to dzieło kompanii belgijskiej. Mamy zresztą jechać trasą, na której już od kilku lat kolej kursuje, więc wstępuje w nas otucha. Jeszcze tylko pierwsze chwile przejmują nas trwogą, bo przebywamy potężną i silnie wezbraną rzeką Uruguay, na której pod stały most dopiero budują filary, a tymczasem jedzie się przez most prowizoryczny. Zapewniono nas jednak, że będzie bezpiecznie, bo wysłano na próbę naprzód pociąg naładowany kamieniami, a most wytrzymał. Wytrzymał i pod nami i przepuścił nas na terytoryum S. Catharina na trasę ciągnącą się uroczem łożyskiem rzeki do Peixe. Na terytoryum spornem między Paraną a S. Catharina wjeżdżamy znów w obręb nowych polskich kolonii, Nowa Galicia i Legru. Są to kolonie, które założyło towarzystwo francusko-amerykańskie mające w swem ręku tę linię kolejową. Pod budowę kolej wykupili znaczne tereny wzdłuż toru, aby je zaraz kolonizować, a przez to zużytkować lepiej kolej. System kolonizowania wprowadzili nowy. Mianowicie na działach gruntów budują zaraz przyzwoite domki i zagrody, które oddają gotowe nowym kolonistom. Ci

zaś zobowiązani są w 6 latach spłacić kompanii 600 milr. (900 Kor.) za wszystko. Dyrektorem tych kolonii był niejaki p. Paszkiewicz, przyznający się do polskości, choć po polsku nie umie. Rozciągnął on wielką opiekę nad kolonistami; nie wpuszczał w obręb kolonii wódki, tępił pijaństwo i starał się bardzo dla nich o księdza i szkołę. Wystawił kaplicę, którą niewyśledzony złoczyńca spalił, dom dla księdza i szkołę. Niestety najgorliwszym jego staraniom nie udało się księdza tu na stałe pozyskać. Na przeszkodzie stoi podobno interes parafii w Port Uniao, do której obrębu te kolonie należą, a gdzie duszpasterstwo sprawuje Niemiec. Nasi Misyonarze z Parany dojeżdżają tu czasem, aby przecie choć w części zaspokoić potrzeby duchowne Polaków. — Obecnie okazuje się, że grunta te nie są najlepsze pod uprawę i dla tego ruch kolonizacyjny starają się posunąć dalej na południe na brzegi rzeki Rio dos Pedras. Ale i tu już pokazują się piękne łany kukurudzy itp. — Przebywszy te kolonie przyjeżdżamy wieczorem do Port Uniao nad rzeką Iguassu i jesteśmy już na niewątpliwem terytoryum Parany. Polaków w tym miasteczku jest kilkadziesiąt rodzin, przeważnie jednak zamieszkują je Brazylianie i Niemcy. — Jeszcze jeden dzień drogi koleją mieliśmy do Ponta Grossa, gdzieśmy musieli przenocować i wreszcie dn. 10 lutego stanęliśmy koło Kurytyby w Orleans u swoich.

Zabawiwszy tu jeszcze tydzień dla załatwienia spraw, musiałem zdążać do Santos, gdzie miałem wstąpić na okręt, aby wracać do Europy.

Wypadło mi przedtem pojechać jeszcze do Rio de Janeiro do poselstwa austryackiego dla omówienia niektórych spraw tyczących się naszych wychodźców, a zwłaszcza szkół w Paranie. Doznałem tam wielkiej życzliwości ze strony p. v. Egger, chargé d'affaires poselstwa. — Droga z Kurytyby do Rio de Janeiro wynosi 38 godzin pociągiem pospiesznym. W tych stronach już pospiesznymi pociągami jeździć można i to nocą także. Nadto zatrzymałem się w S. Paulo, aby odwiedzić konsula austryackiego p. Bertoniego, jak mu to

byłem obiecał. W mej podróży morskiej do Brazylii miałem przyjemność bliżej go poznać, gdyż wracał on z żoną z Europy, gdzie przepędził letnie wakacye i namówił mnie, abyśmy podróż morską odbyli razem, za co mu byłem wdzięczny. Oprócz wielkiej przyjemności, jakiej doznałem z ich towarzystwa, miałem sposobność przekonać się, jak słuszne jest wielkie uznanie i cześć dla tego konsula między naszymi kolonistami w Paranie. Był on konsulem przez lat kilka w Kurytybie i wskutek tego, że umiał gorące swe polskie serce zjednoczyć zawsze z sumieniem dzielnego i nadzwyczaj zdolnego urzędnika austryackiego, zostawił między Polakami w Paranie po swym wyjeździe nigdy nie wygasły serdeczny żal, a u Brazylijskich władz poważanie bardzo wielkie do tego urzędu. Przeniesiony został do S. Paulo. Nie podobna więc mi było nie odwiedzić jego domu w S. Paulo, gdzie znów zaznałem ich wielkiej i bardzo uprzejmej gościnności. — Starałem się przytem odszukać w tem mieście naszych Polaków, których jest 160—200 rodzin, niestety bardzo pod względem religii opuszczonych, i postanowiłem im posłać jakąś pomoc. Zachęcili mnie do tego i zacni OO. Benedyktyni niemieccy, których gościnności zażywałem, a którzy dla pracy misyjnej nad Polakami ofiarowali ochotnie swój kościół. Ogromnie też o to nalegał na mnie p. kousul Bertoni, który bardzo gorąco się stara, aby Polacy w tych stronach otrzymali swoich Misyonarzy. Po wielkanocy bawił tu potem w tym stanie nasz ks. Mięsopust z Parany przez blizko 3 miesiące i dla samego miasta S. Paulo poświęcił trzy tygodnie. — Z jakim żalem powtarzałem tu sobie: „Operarii pauci“, boć tak bardzo Polakom w tym stanie opieki duchownej potrzeba!

We wtorek zapustny 28 lutego siadłem w Santos na okręt „Principe di Udine“, towarzystwa włoskiego Loyd Sabaudo, aby wracać do Europy. Miałem czas na okręcie rozważać wrażenia z tej mojej podróży w Brazylii. — Myśli moje obracały się ustawicznie około czterech ran bolesnych

naszej emigracyi, na które takby się pragnęło znaleźć lekarstwo, a tak boli ta bezsilność, jaką się w tem odczuwa.

Pierwsze złe to brak jakiejkolwiek organizacyi naszego wychodźctwa. Wskutek tego braku nasz wychodźca jest wyzyskiwany i bałamucony, zanim zajedzie na miejsce emigracyi. Przybywszy zaś tamże rozpraszają się Polacy bez planu i bez jakiejkolwiek celowej myśli. Wskutek tego jedni zostają w miastach, i tym najgorzej się potem dzieje pod względem religijnym i narodowym; inni idą na kolonie, gdzie za mało jest Polaków, aby mogli mieć swój kościół i swoje szkoły, albo też na kolonie, których gleba dla nich jest nieodpowiednia. Stąd potem to łatwe porzucanie ziemi, w którą się już dużo włożyło pracy, i przyzwyczajenie do życia koczowniczego. Na okrętach włoskich jedzie zawsze komisarz rządowy, który silnem ramieniem otacza emigrantów włoskich. Komisarz na „Principe di Udine“ nadzwyczaj uprzejmy i miły rozmawiał ze mną dużo o kwestyi emigracyjnej i opowiadał mi ciekawe szczegóły doskonałych ustaw emigracyjnych włoskich. O tejże samej kwestyi rozmawiałem z wielu innymi towarzyszami podróży i uzupełniałem sobie wiadomości od nich nabyte tem, co sam widziałem w Brazylii, jaką opieką swego rządu otoczeni tam są emigranci i koloniści włoscy lub niemieccy. Gdym to porównywał z opuszczeniem i osieroceniem naszych, którzy wszędzie są jako owce błąkające się, jakże się zwiększał ból! Powtarzałem sobie często: „Vae victis“! To vae wszędzie idzie za nami, i pójdzie jeszcze nawet wtedy, gdy stanie się kiedyś ten cud, że i Austrya będzie miała ustawę emigracyjną.

Drugi niedostatek naszej emigracyi to brak opieki duchownej nad nią. Praca duchowna nad nimi to praca misyjna w bardzo trudnych warunkach. Do tej pracy trzeba pewnej liczby kapłanów wędrownych, którzyby pewne mieli ognisko, do któregoby wracali, aby się pokrzepić na duchu. Warunki więc te szczególnie nieprzyjazne są pracy, że się tak wyrażę, w pojedynkę. Ta praca w pojedynkę w warunkach tamtejszych i mało owoców wydaje i samemu kapła-

nowi jest niebezpieczna. Łatwiej jej podołają siły zjednoczone Zgromadzenia jakiegoś. Niestety, gdy inne narodowości mają tam tyle Zgromadzeń zakonnych poświęcających się dla nich, nasi Polacy tak bardzo są pod tym względem upośledzeni. Gdy się jeszcze weźmie w rachubę z jednej strony nieprzystępność naszego języka dla księdza innej narodowości, z drugiej strony drażliwość większą naszego uczucia narodowego, które przywykło od obcych doznawać tylko krzywdy i poniewierania, zrozumiemy łatwo, jak duch religijny, a w parze z tem i narodowy, u naszych wychodzców wiele cierpi wskutek tego braku opieki duchownej.

To złe niestety zwiększa się jeszcze wskutek dalszego złego, a mianowicie wskutek gwałtownego najazdu złych wpływów. Brak jest misyonarzy dobra, ale za to ogromna immigracya apostołów „myśli niepodległej". Tych ludzi, co to nic nie mają do stracenia, a wiele zyskać mogą, ciągną się tam do Brazylii za Polakami jakby stada mew, co gonią za okrętem unoszącym naszych emigrantów. Z jakiejś internacyonalnej kuźni w Paryżu idą tam stosy bibuły antyreligijnej; „kazania" Hempla, „Życie" Neumana, „Polak w Brazylii" i t. p., z iście masońską wściekłością bryzgają jadem na Kościół, na wiarę, na moralność chrześcijańską i „uświadamiają" lud. Jakieś ulotne pisemka najczęściej bez miejsca druku i bez autora, zatytułowane „Chrystus w Watykanie" lub „Wolny Głos", jakby suche liście ze spruchniałych drzew, pędzone z Europy, rozlatują się po polskich koloniach. Nawet maryawickie pisma mają tam swych kolporterów. I na taką propagandę są fundusze; łatwo odgadnąć, jakie.

A wreszcie szkolnictwo polskie w Brazylii — to okropna rana. Ustawy brazylijskie pozwalają na szkoły prywatne, o które rząd całkiem się nie troszczy. Warunki zaś kolonizacyi tamtejszej, o których trudno mi tu szerzej pisać, są tego rodzaju, że potrzeba tam szkół małych, a zato licznych. Wielkiej ilości dzieci szkoła nie jest w stanie skupić. Wskutek tego naszym emigrantom potrzeba nieproporcyonalnie

wiele szkół, które muszą swoimi własnemi siłami utrzymać. Inne narodowości mają od swoich rządów bardzo wydatną pomoc w tym kierunku. Jeden Zakład włoski w S. Paulo ma od swego rządu 20.000 lir. rocznej subwencyi. Niemcy wspierają szkoły swych kolonistów stałemi wielkiemi subwencyami. Biedni Polacy tylko są zostawieni sami sobie. Nie są więc w stanie opłacać dobrze sił nauczycielskich. Muszą przeto brać na nauczycieli siły intelektualnie, a często moralnie choćby i najlichsze. Takie siły napływające bezustannie z Europy zwykle na początek zadawalniają się chlebem nauczycielskim. Gdy się rozpatrzą w sytuacyi i poznają protektorów „postępu", już się chlebem szkoły parafialnej nie zadowolnią, rzucają ją często tajemnie i idą dalej, bo zyskać mogą a nic nie tracą. Pojawiają się też szkoły zasilane funduszami ze źródeł, z których płyną koszta na opłacanie owych pism „uświadamiających", o których wyżej mówiłem. I one są również efemeryczne, spełniają tylko zadania reklamy owych kolporterów i bałamucenia opinii w kraju. Jaki skutek takich szkół, łatwo zrozumieć. — Niezmiernie też doniosłe mają tam znaczenie szkoły polskich Zgromadzeń zakonnych żeńskich. Niestety i sił tych brak i koszta ich wyprawy tamże tak wielkie — a my Polacy jesteśmy pozostawieni sobie sami, jeżeli chcemy pozostać Polakami i wiernemi dziećmi Kościoła.

Gdym nad tem wszystkiem rozmyślał w mej podróży powrotnej, ciągle mi przychodziło na myśl: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało". — Prośmy więc Pana żniwa, aby posłał dobrych, a licznych robotników na to tak piękne żniwo swoje.

Ks. K. Słomiński.

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

Z wiosną bieżącego roku podjął ks. Szymbor na nowo pracę nad naszymi wychodźcami w dyecezyi hildesheimskiej tak pięknie zapoczątkowaną przez ks. Witaszka i ks. Paszynę w lecie roku zeszłego [1]). O przebiegu tych wycieczek misyjnych opowiada ks. Szymbor w liście do Przew. Księdza Wizytatora, który tutaj zamieszczamy.

Wilhelmsburg, 23 maja 1912.

Dwa miesiące już jestem wśród wychodźców a to, co dotąd pisałem w listach, było tylko w sprawach bieżących; nie zrobiłem jeszcze sprawozdania o całości pracy. Chcę to teraz zrobić. Jestem obecnie powtórnie w Wilhelmsburgu i spostrzeżenia moje przedtem ponotowane, mam teraz sposobność stwierdzić i uzupełnić.

Z domu wyjechałem już 7 marca, ale pierwsze trzy tygodnie zeszły mi na rekolekcyach w Poznańskiem, 1) dla Pań Miłosierdzia w Poznaniu u św. Józefa, 2) dla Sodalicyi kupieckiej u św. Marcina także w Poznaniu, 3) dla Pań Miłosierdzia w Gostyniu. Po tej pracy dopiero miałem się udać do dyecezyi hildeshajmskiej szukać naszych wychodźców.

Dyecezya Hildesheim należy terytoryalnie do największych dyecezyi niemieckich, ale też tylko terytoryalnie, bo pod każdym innym względem żyje dziś tylko wspomnieniami dawno już minionej przeszłości. Kiedy w sąsiedniej Polsce zaledwie brzaski chrześcijaństwa się objawiały, Hildesheim już

---

[1]) Por. Roczniki 1911, 4 oraz 1912. 1 i 2.

miał dobrze zorganizowaną dyecezyę i przez następne wieki aż do reformacyi był udzielnem księstwem. Dziś tylko gruzy i strzępy pozostały po dawnej świetności i potędze. Sięgając od gór herceńskich na południe ku granicom Meklemburgii na północny wschód z jednej strony, a z drugiej aż poza Hamburg do Morza Północnego obejmuje ona całe północno zachodnie Niemcy. Wszystko to kiedyś było katolickie; reformacya sprotestantyzowała. Na olbrzymiej przestrzeni 550 mil kwadratowych posiada dyecezya tylko 205100 wiernych i 238 księży. Cała prowincya hanowerska (z wyjątkiem części stanowiącej dyecezyę Osnabrück) i księstwo brunświckie do niej należą. Na tej samej przestrzeni są 3 miliony protestantów. Katolicy więc tutejsi w całem słowa tego znaczeniu znajdują się wśród dyaspory, gdzie ludność katolicka ma się do protestanckiej jak 1 : 15.

Katolicy wśród dyaspory protestanckiej, Polacy tu są wśród dyaspory niemieckiej. Niemieccy katolicy dyecezyi hildeshajmskiej mają swoich 238 księży, Polaków w morzu niemieckiem szukać ma misyonarz. Dawniej przez długie lata czynili to OO. Jezuici; rok drugi obecnie od czasu, jak pastoracyę wśród Polaków swojej dyecezyi ksiądz Biskup Adolf Bertram oddał Misyonarzom. Starałem się usilnie o to, żeby się dowiedzieć, ile też Polaków znajduje się w obrębie dyecezyi hildesheimskiej, ale żadną miarą dojść nie można do ścisłych liczb. Tyle jest pewnem, że w r. 1888 liczyła dyecezya 102,000 wiernych, dziś ich liczy 205,000, zatem dwa razy więcej. Nagły ten wzrost znajduje wyjaśnienie we wzroście przemysłu i z nim połączonej imigracyi; ile zaś do niej przyczyniło się polskie wychodźtwo, powszechnie jest wiadomem. Wiadomem jest także, że w obrębie państwa niemieckiego jest każdego roku 600,000 robotników [1]), pochodzących z Królestwa i z Galicyi. Ale ile z tego przypada na dyecezyę hildeshajmską, w której pastoracyę Polaków nam-

---

[1]) Berufs- und Betriebsstatistik; tom statystyki niemieckiej 210. Statistische Korrespondenz.

powierzono? Na podstawie oficyalnej statystyki przekonać się można, że w prowincyi hanowerskiej jest 19,000, a w Brunświku 13,000 robotników rolniczych i przemysłowych nieurodzonych w Niemczech. Razem więc 32,000[2]). Ale ta statystyka mówi tylko o tych, co z za granicy przybyli, a więc z Królestwa i z Galicyi, a nie notuje tych, którzy z księstwa Poznańskiego, z Prus Zachodnich i ze Śląska emigrują i szukają pracy zarówno na roli jak w przemyśle. Z tych trzech prowincyi wychodźcy polscy szczególnie licznie cisną się do przemysłu, który bez porównania więcej zarobku przynosi niż praca na roli. Do powyższej więc cyfry dodać należy robotników polskich z przynależnością państwową niemiecką, przybywających ze Śląska, z Poznańskiego i z Prus Zach. Są oni w centrach przemysłowych: w Wilhelmsburgu 6000, w Harburgu 1600, w Misburgu 2300, w Warstade Lehe i Geestemünde razem 2000, w Hannover-Linden, Döhren, Niendorf i Wunstorf razem 8000, w Blumenthal pod Bremą przeszło 3000. Pomijając już inne miejscowości, które w przemyśle zatrudniają mało tylko Polaków, otrzymujemy w ten sposób znowu 23,000. Mamy więc 55,000 polskich robotników w obrębie dyecezyi hildeshajmskiej, która terytoryalnie obejmuje ziemie brunświckie i hanowerskie po rzekę Wezerę. Na ogólną liczbę 205,000 jej dusz przypada 55,000 Polaków.

Nie zetknie się jednak polski ksiądz z wszystkimi 55,000 Polaków choćby już z tego względu, że w Brunświku ustawą mu jest wzbroniona działalność kapłańska, a tam przecież 13,000 Polaków pracuje.

Mnie posłano najpierw na najliczniejszą kolonię polską, do Wilhelmsburga. Nigdzie w dyasporze tak gromadnie nie znajdują się Polacy jak tutaj.

Z całem oddaniem się dla sprawy wychodźców naszych podjąłem się pracy. Biedni to ludzie, biedniejsi niż

---

[2]) Ibidem. — Nadto Tomaszewski: „Książka o emigracyi“ — Przegląd powszechny 1911 lipiec i sierpień.

przypuszczałem. A bieda ta i nędza rozciąga się we wszystkich kierunkach. Wilhelmsburg jest przedmieściem Hamburga; milionerzy hamburscy mają tu swoje fabryki, warsztaty okrętowe, werfty, doki; zgnilizna zaułków wielkomiejskich znalazła tu ujście dla siebie. Był tu przedemną ks. Witaszek. Co widział i co zrobił, to opisał w „Rocznikach“. Skoro więc miałem po nim pracować, należało się korzystać z jego doświadczeń i w tym samym kierunku działać. Już on doszedł do przekonania, że chcąc cośkolwiek zrobić, trzeba ich nietylko pouczyć, ale wstrząsnąć. Uprosiłem ks. proboszcza Algermissen i codziennie miewałem kazania wieczorami o godz. 8 przez 2 tygodnie, t. j. przez wielki tydzień i przez tydzień następny aż do przewodniej niedzieli. W niektóre dni, mianowicie wtedy, kiedy byli wolni od roboty prawiłem dwa razy dziennie, raz do południa, drugi raz po południu. Tak było w wielki piątek, w pierwsze i drugie święto wielkanocne. W tygodniu po wielkiej nocy miałem przez trzy dni wieczorami nauki stanowe do samych niewiast, w następne 3 dni do samych mężczyzn, w niedzielę przewodnią do wszystkich razem. I jakkolwiek dużo złego wśród nich, strasznie dużo, to przecież przekonałem się, że oni sami przecież są lepsi niż czyny ich. Gdyby mieli tę opiekę, której nie mają, byliby bez porównania lepsi.

Jak wszędzie w Zachodnich Niemczech tak i tu katolicy są w mniejszości. Cały Wilhelmsburg liczy 32.000 mieszkańców, protestantów wśród tego jest 24000, a katolików 8000. Stanowią więc katolicy $^1/_4$ część miejscowej ludności. Jako gmina katolicka jest parafia Wilhelmsburgska jedną z największych parafii w dyecezyi. W tych 8000 katolików przeważają Polacy. Jest ich bowiem 6000, a może i więcej. Mówię tak nieściśle i niedokładnie, mówię „może“, bo przecież wiadomo jak Niemcy spisują statystykę, kto tylko cośkolwiek mówi po niemiecku, tego już z wielką satysfakcyą zapisuje się jako niemca.

Jest Wilhelmsburg wyspą, oblaną ze wszystkich stron wodami ujść Elby; i Polonia wilhelmsburska jest wyspą

wśród kraju niemieckiego. Ale wody Elby nie tyle zagrażają brzegom miasta i nie czyhają tak na zgubę jego, jak ci niemcy, którzy się tu uważają za panów ziemi, na przybłędów-Polaków z dalekiego świata, helotów i paryasów wśród rzeszy narodów. Wszystkiemu też ton nadają niemcy. Napisy na sklepach i magazynach niemieckie, tylko gdzieniegdzie w kącie, brudnej uliczce kryje się wstydliwie napis polski; rozmowy na ulicach niemieckie, nauka w szkole niemiecka, śpiewy i modlitwy w kościele niemieckie, ma, wprawdzie bractwo różańcowe modlitwę polską, ale to raz na miesiąc. Całe więc tło obrazu czarno-biało-czerwone.

Ja już przedtem, zanim się wybrałem do Wilhelmsburga, słyszałem o tem, że tu tak dużo Polaków. Byłem więc niepomału zdziwiony, kiedy na pierwszem nabożeństwie, przy którem tu byłem obecny, słyszałem pieśni niemieckie. A gdzież są Polacy? gdzie się podzieli? pomyślałem sobie. Czyby tu do kościoła chodzili sami niemcy? Było to we Wielkim Tygodniu, śpiewali „O Haupt voll Blut und Wunden“. Skończyłem spowiedzi; nie miałem ich zresztą dużo, bo to dopiero początek. Wyszedłem z konfesyonału i klęknąłem w ławce. Za chwilkę spojrzałem przed siebie — ta pani, która przedemną klęczy w ławce i tak pociąga za organami, nuci na pamięć, w ręce ma książkę polską; a ten obok mnie z prawej ma jezuicki zbiorek, a ten po lewej zatopił się w „Skarbie zbawiennym“. A — tacy to Niemcy! To wszystko więc Polacy z ojca i z matki, a tu tylko douczyli się nieco niemieckich pieśni kościelnych, a douczyli się ich strasznie licho, bo niemiłosiernie przekręcają słowa pieśni.

Byłem ciekawy, skąd też pochodzą tutejsi Polacy. Przekonałem się, że najwięcej jest tu z Poznańskiego, a mianowicie z Ostrowa, z Kępna, od Wolsztyna, Inowrocławia, Jarocina, Gostynia, Krotoszyna. Wielu pochodzi też ze Śląska, od Kluczborka, od Opola, Koziej Szyi, a także z Prus Zachodnich, od Tucholi, Tczewa, Grudziądza, Zakrzewa. Gdyby procentowo ich zestawić według pochodze-

nia, to 60% przypadłoby na Poznańczyków, 25 prc. na Ślązaków, 10 prc. lub cokolwiek więcej na pochodzących z Prus Zachodnich, a kilka procent może ze 3 lub 4 na Królewiaków i Galicyan. Osiedlenie się stałe tych ostatnich napotyka tu na ogromne trudności.

Mają też tu Polacy swoje stowarzyszenia. — Najstarsze i najliczniejsze z nich jest Towarzystwo św. Józefa. Liczy 150 członków. Założył je pewien Ślązak przed laty 20, ale potem doszło w stowarzyszeniu do ostrych nieporozumień między Ślązakami a Poznańczykami, ci ostatni wzięli górę, a tamci prawie wszyscy powystępowali. Zależało mi na tem, by poznać wszechstronnie życie tutejszych Polaków, dlatego też przybyłem na zebranie i przemawiałem, zachęcając do spełnienia obowiązków religijnych i narodowych. — Drugie stowarzyszenie, to św. Stanisława biskupa. Ma mniej, bo 120 członków. — Jest także „Sokół". — Kółek śpiewackich aż 2 czy 3. Jedno „Wanda" uprawia także śpiew kościelny, a drugie „Lutnia" tylko „sobie śpiewa a muzom".— Jest i kółko dramatyczne. — Jedna jest szkoda, stara zresztą i znana, niezgoda. Stowarzyszenia te we wiecznej wojnie, nigdy zgodzić się nie mogą. Nigdy zgodnie nie występują, zawsze się zwalczają.

Z bractw kościelnych polskich istnieje Różaniec dla matek, a drugi dla dziewcząt.

Ale socyaliści także ryby łowią w mętnej wodzie. — Wielu Polaków wstępuje do ich „Związków", a trudno temu zaradzić, bo tutejsze życie towarzystw polskich ma jeszcze tę wielką wadę, że jedynym ich celem zebrania i zabawy. Związków zawodowych, które tutaj tak niezbędnie są potrzebne, niema wcale, same towarzystwa bez związków zawodowych nie przyniosą korzyści. Jeżeli ma być sens i cel praktyczny dla stowarzyszeń, to trzeba przedewszystkiem zakładać związki zawodowe. — Nimi stoją i górują socyaliści. A w dzisiejszych czasach strejków i trustów robotnik niezorganizowany nic nie znaczy. Jeżeli nie jest i nie chce być zorganizowanym, będzie z pracy wyrzucony i nigdy

uczciwie płatnej roboty nie znajdzie; chce być robotnikiem organizowanym, musi wstąpić do organizacyi socyalistycznej, bo innej tu niema. — A szkoda, wielka szkoda! bo tu jak nigdzie mogłyby prosperować związki. Tyle tysięcy Polaków w jednem miejscu skupionych, wszyscy prawie w tem samem miejscu zajęci, setkami te same interesa robotnicze mają. I koniecznie potrzebne są i łatwo byłoby je założyć i łatwo prowadzić i za ich pośrednictwem dojść do realnych rezultatów dla dobra robotników.

A trzeba przyznać, że polski robotnik tutejszy niechętnie wstępuje do organizacyi socyalistycznej. Niewielu stosunkowo ich do niej należy, a ci, którzy dla kawałka chleba do niej się zapisali, uczynili to z abominacyą.

Kto jednakże zna życie religijne w starych dzielnicach Polski, ten na obczyźnie pyta się; gdzie wiara nasza? Zdziwiony poznać nie może katolików po życiu ich. Odprawialiśmy misye ludowe we wszystkich trzech zaborach; ale wszędzie spotykaliśmy się z tą samą głęboką wiarą, wszędzie życie Polaka wybitnie religijne cechy posiada. A na obczyźnie? Szyderstwem, ironią brzmią wtedy słowa Antoniewicza, że połowę nieba Polska zajmie.

Do kościoła chodzi się tu mało, choć kościół blizko. Połowa i więcej niż połowa zagląda do kościoła na wielkanoc i na Boże Narodzenie. Są tacy, co wcale się oń nie troszczą. W roku 1911 do spowiedzi i Komunii wielkanocnej przystąpiło 2600. To straszne świadectwo o zobojętnieniu. Składają jeszcze inne dowody zobojętnienia. Wiara, moralność, przykazanie, to słowa, które dla wielu znaczenia nie mają. Przykład: Przyszło dwoje ludzi do proboszcza w sprawie zapowiedzi. Ale ślub miał się odbyć jak najrychlej. A tu pani młoda w dodatku jest protestantką. Należałoby ją przedtem pouczyć, z katechizmu coś jej wytłómaczyć i przynajmniej wmówić w nią czystą intencyę przyjęcia wiary katolickiej Nie mógł się jakoś proboszcz z nimi dogadać, więc mnie zawołał, żebym im wyperswadował, że to przecież rzecz ważna, że trzeba trochę poczekać, że najchę-

tniej im wszystko zrobi, ale niech ona przedtem przychodzi przez parę tygodni na naukę, potem niech zrobi wyznanie wiary, a wreszcie będzie ślub. Ale p. Jan (rodem z Pleszewa) ani słyszeć o tem wszystkiem nie chciał. Ma tak być i wtedy być, jak on sobie ułożył, a nie inaczej. On już tu przybył w bojowym nastroju. Rzucał się, pienił, wreszcie w mieszkaniu proboszcza włożył kapelusz na głowę, wstał, porwał przyszłą swoją żonę za rękę i w postawie władcy zawołał: „Na, da machen wir kein Geschäft; wir gehen zum Standesamt". I ten, który przedtem po niemiecku porozumieć się nie umiał, groźbę wypowiedział po niemiecku, groził ślubem cywilnym. A ile tu takich małżeństw, które tylko cywilnie są zawarte! Nie chciałem wierzyć, kiedy mi o tem opowiadano, ale ten wypadek otworzył mi oczy. Są i takie małżeństwa, które wcale nie uważały za potrzebne ani w kościele brać ślubu ani w urzędzie cywilnym. A hańbą na całej kolonii polskiej ciążącą jest zwyczaj, powszechny zwyczaj, że narzeczeni miesiącami i latami całemi jedno mają mieszkanie. I to uważałem za pewną przesadę, gdym o tem słyszał. Ale się znów sam miałem przekonać.

Demoralizacya z zanikiem wiary ciągle tu idą ręka w rękę. Niewiele sobie cenią wiarę. Małżeństw mieszanych 70 rocznie, a jakie w nich wychowanie dzieci! Pytałem się o to, czy w tych małżenstwach mieszanych zdarza się, że jedno przyjmuje wiarę drugiego. Odpowiedziano mi, że tak. A gdy się zapytałem, co częściej bywa: czy to, że strona protestancka przechodzi na katolicyzm, czy też to, że katolicka strona przyjmuje protestantyzm, powiedziano, że to ostatnie bez porównania jest częstsze.

Zdarzają się, i wcale nie tak rzadko, wypadki, że rodzice zaniedbują chrztu dzieci. Czasem dziecko ma rok, ma dwa lata i więcej, a jeszcze nieochrzczone. Pewna polska kobieta nie przynosiła dziecka do chrztu a już miało rok. Pytana, kiedy je przyniesie i czemu tego nie czyni, odpowiada: „matka mi ciężko chorowała, jam patrzała na jej straszne boleści, prosiłam, błagałam P. Boga, żeby pomniej-

szył jej cierpienia — zabrał mi ją, umarła". I tak mściła się na Bogu za to, że matkę jej zabrał.

W pierwsze święto wielkanocne rano już miałem jedno kazanie. Ale że to wszystkie fabryki i warsztaty stoją, więc we wieczór o godz. 8 jeszcze jedno kazanie. Wpierw jednak odprawiłem nabożeństwo, aby inni dosyć jeszcze mieli czasu się zgromadzić. Tak więc kazanie mogłem zacząć dopiero przed godź. 9. Kościół nabity. Przeważają mężczyźni. Postanowiłem tak do nich przemówić, żeby ich wstrząsnąć. Nic do tego tak się nie nadaje jak rzeczy ostateczne. Wziąłem za temat piekło. Widziałem, z jak wytężoną uwagą słuchali. Że jednak wśród protestantów i socyalistów pracują, więc trzeba mi było i z zarzutami się rozprawić, ich wątpliwości rozwiać i ugruntować ich w wierze. Czułem, że tu szczególniejszą to przedstawia trudność, gdzie tak przeróżne żywioły się zgromadziły. Tu przedemną w kościele wierzący i niewierzący i dobrzy katolicy i socyały. Czułem, że w tej ilości jak dzisiaj, nigdy ich już nie dostanę i że, jeżeli ma mieć cel jakiś pobyt mój u nich, to dziś się może rozstrzygnąć. Jeżeli fałszywy, niezręczny krok zrobię, wszystko zepsute. I nigdy tak szczerze się nie modliłem przed kazaniem, jak w tym dniu. Pod koniec kazania pragnąłem, żeby to, co mówiłem, jak najbardziej bezpośrednio do siebie odnosili. Wszelka niewiara i bezbożność przedewszystkiem radaby rzeczy ostateczne usunąć, bo te przypominają zawsze całą sumę odpowiedzialności ludzkiej i dlatego też we fabrykach, w których moi słuchacze pracują, najczęstsze grzechy przeciwko wierze miały za przedmiot te dogmata. Usunąć niewiarę, utwierdzić ich w wierze, musiało być obecnie mojem zadaniem. Jakżeż to inaczej zrobić, jeżeli nie głośnem publicznem wyznaniem wiary w to, co tam we fabrykach tak często szarpali? Mieli więc dać odpowiedź na parę moich pytań, tak mniej więcej, jak to przy chrzcie się dzieje. Z rosnącym entuzyazmem wołali: „Wierzymy"! a te krótkie, grzmiące okrzyki z kilku tysięcy piersi jak iskra elektryczna na nich samych działały. Nagle tumult. Jeden głos prze-

drzeźniał. „Kłamstwo“! „Niema piekła“! „Nie wierzę“! Straszne wrażenie. „Bluźni! bluźni“! wołali. „Wyrzucić“, wołali inni. Kobiety spazmatycznie zaczęły płakać. Ale mężczyźni prędko się zoryentowali, porwało go kilkanaście żylastych rąk i za minutę już byli z nim za drzwiami. Tam jeszcze grad energicznych kułaków nań spadł, a widocznie dobrze trafiały, bo jak tylko wypuścili go z rąk, to tak umykał, że kapelusza zapomniał, kokardę czerwoną zgubił, zarzutkę zostawił, a nie obejrzał się, aż przed drzwiami swojego mieszkania. Byłto pionek z partyi czerwonej, który miał sprawę mi zepsuć a tylko dopomógł, bo kiedy ponowiłem te same pytania, odpowiedzi ich jak pioruny grzmiały, jakby w proteście przeciwko temu, co ich kolega tu wołał. — Ten wypadek ogromnie przyczynił się do podniesienia nastroju u wszystkich obecnych, a niewierzących zohydził w ich oczach.

Przytoczyć muszę jeden jeszcze wypadek, który ilustruje drastycznie, do jakiego zdziczenia dochodzą jednostki. Słuchałem spowiedzi. Już była późna noc. Zdaje mi się, już było po 1 godzinie w nocy. Jeszcze stali z lewej i z prawej strony mężczyźni. Czekali na spowiedź. W ławkach klęczeli ci, co pokutę jeszcze odmawiali. Między innymi stał po prawej stronie konfesyonału jeden, który lekkomyślnem zachowaniem zwracał uwagę. Przyszła kolej na niego. Spowiada się. Spowiedź trwa parę minut. Nagle ten zrywa się, naciska kapelusz na uszy i w kapeluszu na głowie przechodzi przez cały kościół, drwiąc i szydząc, ku zgorszeniu wszystkich obecnych. Aż krew się ścinała na ten widok.

Słusznem jest polecenie biskupa, zawarte w „planie pastoracyi Polaków na rok 1912“, by starać się zajrzeć do miejsc pracy i do mieszkań robotników, gdzie to jest możliwe. Jest tam, co prawda, mowa przedewszystkiem o robotnikach rolnych, ale spróbowałem to zrobić i w Wilhelmsburgu, by wytworzyć sobie dokładny obraz życia i pracy tutejszej ludności.

Największa fabryka jest „Wolka“, jak ją Polacy krótko nazywają, a właściwie „fabryka czesania wełny“ (Wollkäm-

merei). Pracuje tu najwięcej, bo do 1.200 ludzi, prawie wyłącznie Polacy. Poszedłem do niej razem z proboszczem i przyjrzeliśmy się jej dokładnie. Wełnę sprowadzają za miliony rocznie, z Ameryki Południowej (Montevideo, Buenos-Ayres, Rio de Janeiro) i Australii. W miastach większych są magazyny. Podróżnicy płatni przez kompanię rozchodzą się po tych krajach, gdzie kwitnie hodowla owiec i zakupują dla kompanii wełnę. Transport idzie najpierw do magazynów, a stamtąd okrętami do Wilhelmsburga. Kiedyśmy zwiedzali fabrykę, było w tutejszym magazynie wełny za 600 tysięcy marek. Po wysortowaniu dostaje się wełna do prania: stąd idzie przez setki i tysiące coraz delikatniejszych grzebieni żelaznych, które czyszczą wełnę. — Tuż obok fabryki są domy robotnicze dla rodzin, osobno jeden dom dla dziewcząt, które tu przybyły na pracę bez rodziców, a dalej jest szpitalik fabryczny. Przyznać trzeba „Wolce", że jeszcze najlepiej stara się o swoich robotników. Ekscesa przeciw moralności są ścigane przez zarząd, w niedzielę fabryka stoi i tylko mała część robotników wtedy zajęta jest czyszczeniem maszyn i reparaturami pilnemi. Początek nawet parafii Wilhelmburskiej jest tutaj. Kościół i parafia istnieją bowiem dopiero od 8 lat. Przed tym czasem było parę fabryk we Wilhelmsbergu, ale te wcale nie dbały o stronę religijną swoich robotników. Jedna tylko „Wolka" utrzymywała kaplicę i do niej przybywał co niedzielę ksiądz ze Mszą św. Dziś, kiedy kościół już stoi i wszyscy fabrykanci do niego uczęszczają na nabożeństwo, dawniejszą kapliczkę zamieniono na mieszkanie dziewcząt pracujących, a opiekę nad niemi mają protestanckie dyakonise. Ciągle jednak fabryka płaci każdego roku proboszczowi miejscowemu 600 marek. W szpitalu fabrycznym też są dyakonise. Jest to gruba anomalia, bo przecież wszyscy chorzy są katolikami. Ale temu nie jest już winien zarząd fabryki. Pierwotnie nawet sam się starał o zakonnice katolickie, ale ponieważ pertraktacye z niemi wlokły się w nieskończoność, a chorzy leżeli bez opieki, więc wreszcie trzeba było wziąć dyakonise.

Nawiasem mówiąc, tak od niechcenia pytałem się, czy nie skupują też wełny z południowych stanów Brazylii. „Nie, odpowiedział, posłaliśmy tam przed dwoma laty naszego podróżnego, ale obszedł parę stanów, nic nie wskórał, bo hodowla owiec tam zaniedbana. A szkoda, bo z wielu względów byłaby tam łatwą do prowadzenia na wielką skalę“.

W „Palminie“, gdzie wyrabiają masło z roślinnych, zwłaszcza kokosowych pierwiastków, jest 800 robotników, w połowie Polaków. Zarabiają na godzinę 50 fenigów. Praca trwa 10 godzin. Co drugą niedzielę pracować muszą przez 24 godzin.

Młyn parowy daje zajęcie 200 robotnikom, którzy są wszyscy Polakami. Ani jednego socyalisty tu niema. Płacą tu dobrze, bo 50 fenigów za godzinę, a przytem praca nie taka ciężka i nie zabójcza. Taki robotnik ma na tydzień 30 marek, na miesiąc 124 m.

Bardzo zabójcza jest praca szczególnie na płuca w hucie miedzianej, gdzie robotników 200, a pomiędzy nimi 180 Polaków. Wyziewy miedziane niszczą płuca. A przytem praca trwa długo, bo 12 godzin dziennie, a płatna jest po 4 do 5 marek na dzień.

Równie szkodliwą na płuca jest praca w cynkowni i mniej więcej na tych samych warunkach polega.

Olejnie są trzy. W każdej po 200 do 300 robotników, Polaków. Materyałem surowym jest olej ziemny, który tu przychodzi brudny, czarny, z domieszkami ziemnymi i dopiero tu się czyści i przerabia na olej do maszyn. Dzień roboczy i tu trwa 12 godzin, to się rozumie łącznie z godzinną pauzą w południe, a pół godziny przy śniadaniu i podwieczorku; trwa więc od godziny 6 rano do godziny 6 wieczorem. Płaca jest rozmaita: na dworze 42 fenigi od godziny, przy destylarni 47 fenigów, przy piecu 50 fenigów. Ale tu schodzi posiew socyalizmu. Co drugą niedzielę robobotnicy pracować muszą 24 godzin z rzędu.

Ciężka jest robota w koksowniach i dlatego wszyscy robotnicy w liczbie 160 są Polakami, niemcy garną się do

lżejszych i lepszych robót. Płaca za pracę od 6 do 6 godz. wynosi 4 do 5 marek.

W ogóle więc dosyć dobrze tu wszędzie zarabiają nasi wychodźcy.

Lepsze jeszcze zarobki mają w młynie, w którym mielą nasiona. Stąd makuchy. Tu zarobku 5 do 6 marek dziennie.

Najlepiej zarabiają murarze. Tym płaci się 8 do 11 marek na dzień. Ale też trzeba widzieć, jak murarz hamburski pracuje! (a za takiego ma się też murarz z Wilhelmsburga). Przekłada się go nad murarza berlińskiego i wiedeńskiego, nie mówiąc już nic o prowincyonalnych. Wszyscy pomiędzy nimi są zorganizowani i nieorganizowanego robotnika nie zcierpią wśród siebie, ale ich organizacya jest niestety czerwona.

Dziewczęta i kobiety mają zajęcie w fabrykach Leibniz-Keksów, gdzie mają po 17 do 19 marek tygodniowo zarobku, dalej w śledziarniach, których zwłaszcza w Harburgu jest dużo, prócz tego po restauracyach i kawiarniach z zarobkiem 16 do 18 marek tygodniowo.

Ale jest jeszcze drugie pole pracy, które także otworem stoi dla naszych wychodźców, to porty. Taki stauerman, który zajmuje się ładowaniem okrętów, zarobić może 50, czasem 60 marek na tydzień. Przy werftach i dokach, w ogóle warsztatach okrętowych podobne są płace.

Nadto w służbie kolejowej kilkudziesięciu Polaków — to urzędnicy kolejowi: konduktorzy, cugsfirerzy, maszyniści. A bardzo dużo, ze 200, są robotnikami zwyczajnemi. Tutejszy zarząd kolei nigdy nie szykanuje Polaków. Szczególniej robotników potrzeba dużo w Wilhelmsburgu; bo Wilhelmsburg jest dworcem towarowym dla Hamburga, największym towarowym na całe Niemcy. Jeszcze w dzień odjazdu czytałem na peronie kartkę wywieszoną z ogłoszeniem, że 120 robotników natychmiast znajdzie zajęcie przy kolei z płacą 3 do 4 marek.

Wreszcie też już wiele sklepów powstało, które są własnością polskich kupców i wcale im się dobrze powodzi.

Wszedłem wszędzie, gdzie wejść mi pozwolono; pytałem o wszystko, choć nie zawsze odpowiadać chciano; byłem w fabrykach, w werftach i dokach, bo tam wychodźcy nasi pracują, byłem przy budowie kanałów i przy ładowaniu okrętów, aby Polaków widzieć przy pracy, chętnie szedłem do chorych, odwiedzałem ich w mieszkaniu, aby wejrzeć w ich stosunki rodzinne.

Ale też tak zblizka im się przypatrując, zacząłem sądzić ich inaczej. Jakkolwiek na ogół dobrze zarabiają, to ich praca jest straszna, niszcząca. Niejednej rzeczy przestałem się dziwić. Nie powiedziałem im tego, ale jak się domagać, by chodzili w niedzielę do kościoła, skoro w jedną niedzielę pracują 24 godzin, od 6 g. rano w niedzielę aż do 6 rano w poniedziałek, a w drugą niedzielę po nocnej robocie wracają rano o g. 6 pomęczeni. A gdzie niema czasu na to, żeby się bodaj raz na tydzień pomodlić, gdzie niema czasu pomyśleć o swoich obowiązkach względem Boga i własnej duszy, tam wszystkie przykazania pójdą w zapomnienie. Materyalizm życiowy i najgrubszej formy hedonizm weźmie górę. Że on wszystkich nie opanował, że zepsucie się nie rozpowszechniło i nie wszystkich jeszcze objęło, to chyba dowodem jest na to, że „narodu duch zatruty“ jeszcze nie jest, a że na ten „bólów ból“ naprawdę miejsca jeszcze niema, mogą świadczyć te tysiące, które do późnej nocy kazań moich słuchały i te 3600, które przez 3 tygodnie mojego pobytu w Wilhelmsburgu się wyspowiadały i Komunię św. przyjęły. *Ks. W. Szymbor.*

(Dokończenie nastąpi).

Misya w Siedliskach.

List Ks. Superyora Buchhorna do Przewiel. Ks. Wizytatora.

Milatyn, dnia 12 marca b. r.

Za łaską Bożą odprawiliśmy misyę w Siedliskach i Bogu składam dzięki za Jego dobroć, że pozwolił Zgromadzeniu naszemu przez tę pracę przysporzyć zasługi, a i tylu ludziom pospieszyć z pomocą duchowną. Wiem, że każda praca Zgromadzenia interesuje księdza Wizytatora, dlatego i tę misyę pokrótce opisuję.

Siedliska, to parafia w dyecezyi tarnowskiej, licząca około 6 000 dusz. Okolica czarująca, otoczona znacznej wysokości pagórkami. Dworskich obszarów już prawie tu nie widać w całej okolicy, rozparcelowane zupełnie, skutkiem czego ludność dosyć tu zamożna. Gospodarze lepiej się mający posiadają 30—50 i 60 morgów; średni 10—20, ubożsi 2—10 morgów. Parafia ta rozrzucona na 2 mile średnicy. Wsie nie mają charakteru naszych wiosek, każdy gospodarz mieszka na swoim gruncie, co bardzo moralnie oddziaływa na lud, niema gniewów, krzywd, przekleństw, swawoli tyle, gdyż jeden od drugiego daleko mieszka.

Kościół tu nowy, wspaniały gotyk (rohbau), projektu Dra Jana Zubrzyckiego z Krakowa, obszerny, mogący pomieścić około 4.000 ludzi, o 3 nawach; wieża ku niebu strzelająca mieści 3 dzwony w cudny akord bijące, kosztem 10.000 koron z fabryki Schwabego w Białej; nadto ładny zegar na wieży. Niktby nawet nie myślał, że na prowincyi, we wsi ukrytej pomiędzy górami, może stać dom Boży podobnych rozmiarów. Mógłby ten kościół stanowić ozdobę Lwowa, Krakowa, nawet Wiednia. Winszowałem tego dzieła

miejscowemu proboszczowi Ks. Antoniemu Ruminowskiemu, że zrozumiał doskonale ducha czasu. Parafianie jego, setkami za zarobkiem wędrujący po Ameryce i Prusach, spotykają najrozmaitsze dzieła sztuki za granicą, mogliby pewnie pomyśleć sobie: Czemużto w innych krajach takie wspaniałe stawiają ludzie kościoły Panu Bogu, a u nas takie małe, ciasne, ciemne szopki?

Na misyę tę wybraliśmy się w trójkę, ja, Ks. Konieczny i Ks. Witaszek. W sobotę 24 lutego o godzinie 12.18, stanęliśmy na dworcu w Dębicy, gdzie nas oczekiwał wysłany przez proboszcza wikary z Siedlisk, Ks. Jan Koza. Po przywitaniu, udaliśmy się 2 wózkami na miejsce przeznaczenia. Siedliska oddalone są od stacyi kolejowej 25 km., jechaliśmy 2½ godzin, a cały czas wśród dobrego deszczu. Droga z Dębicy do Siedlisk niezła, murowana, wije się jak biała wstęga wśród cudownej okolicy górzystej, przez którą Wisłoka wartkim przebiega pędem, jakby jej się spieszyło do matusi Wisły. Po 2½ godzinach stanęliśmy wreszcie u celu. Ks. proboszcz powitał nas z radością, a i z politowaniem, że nam niebo takiego sprawiło psikusa. Nazajutrz rozpoczęliśmy misye. Była to I. niedziela postu, dn. 25 lutego. Tłumy narodu wprowadziły nas procesyonalnie z probostwa do kościoła, gdzie po wstępnych ceremoniach, po pobłogosławieniu nas przez proboszcza i odśpiewaniu hymnu *Veni Creator*, zaczęła się suma przy wystawieniu N. Sakramentu, wśród której Misyonarz wypowiedział kazanie o znaczeniu i zadaniu misyi. — Parafię znalazłem do misyi doskonale przygotowaną. Ks. proboszcz przez ostatnie 3 niedziele, stosownie do polecenia mego, tłómaczył ludziom z ambony ważność misyi, co mają czynić w czasie misyi, jak się do niej przygotować, jak wszystko sobie przebaczyć, poprzepraszać się, urazy sobie darować. Nadto polecił, aby w domach codziennie przez 10 dni, odmawiano po 7 pacierzy do Ducha Przenajśw., na uproszenie sobie łaski misyjnej. Ludzie dobrze zrozumieli też czas misyi, bo byli jak rzadko gdzie przygotowani. Wczesnym rankiem spieszyli do kościoła wielcy

i mali, młodzi i staruszkowie o kiju, wszystko z gór zlatywało ku kościołowi, aby brać udział w naukach i nabożeństwie misyjnem. Budowaliśmy się ich pobożnością i cierpliwością, bo choć nie dopisywała pogoda, choć drogi były bardzo błotne, ludu w kościele było po brzegi od rana do późnego wieczora.

Aby wszyscy mogli wziąć udział w misyi, podzieliliśmy parafię na 2 części. Najpierw niewiasty, a potem mężczyźni. W słuchaniu św. spowiedzi dopomagało nam 15 księży, już to kondekanalnych już to z dyecezyi przemyskiej, z którą parafia Siedliska graniczy.

Do Komunii św. przystąpiło niewiast 1490, zaś mężczyzn 1320, wszyscy prawie przyjęci zostali do bractwa św. trzeźwości. Dnia 8, na zakończenie, poświęciliśmy piękny krzyż dębowy, a po odśpiewaniu dziękczynnego *Te Deum,* odprowadził nas lud wśród śpiewu i płaczu w procesyi na probostwo. Nazajutrz opuściliśmy tę ładną parafię, unosząc z sobą miłe nader wrażenie i dziękując Najwyższemu, że raczył przez ręce nasze tak wielkie zdziałać sprawy. *Tunc repletum est gaudio cor nostrum et lingua nostra exsultatione.* Mam — nadzieję, że misya ta długo pozostanie w pamięci u tego dobrego ludu, wydając i plon stokrotny życia cnotliwego!

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim [1].

I.

Wspomnienie o Siostrach Miłosierdzia w Gródku i Tepliku.

Alem zaraz zrozumiał sprawy ich poczciwe,
Które godne na wieki, aby były żywe.
z Panoszy Bart. Paprockiego.

Gródek.

Kilka mamy Grodków na Ziemi naszej; ten, o którym tu mowa, znajduje się w dyecezyi Kamienieckiej, dawnem województwie podolskiem, w powiecie teraz kamienieckim, gubernii podolskiej. Niech nam wolno będzie naprzód słów kilka o przeszłości tego miasteczka powiedzieć [2].

Na początku XV. w. miejscowość ta miała nazwę Bedrzychowa, Gródka Bedrzychowego. Nowego-Dworu i należała do rodu Swirczów. Bedrzych, t. j. Fryderyk, Swircz w 1392 r. otrzymał od Teodora Koryatowicza różne na Rusi nadania; ród ten potem przyszedł do znacznych bardzo dóbr na Podolu, wyznawał wiarę katolicką i przy schyłku XV. w. dwaj bracia z tego rodu, Michał i Andrzej z Nowego-Dworu, zbudowali tam kościół p. w. św. Anny, istniejący w Gródku do połowy XVI stulecia. Potem przez związki małżeńskie

---

[1]) Pod tym nagłówkiem zamierzamy ogłosić szereg przyczynków do naszej historyi, pióra szczerego przyjaciela obydwóch rodzin św. Wincentego, a wielkiego znawcy naszych dziejów (Od Redakcyi).

[2]) Bardziej wyczerpujące wiadomości o Gródku są w znakomitem dziele Kazimierza Pułaskiego p. t. „Stare osady w ziemi Kamienieckiej“, Szkice i poszukiwania historyczne, Serya 3, Kraków 1906; na podstawie tego mówimy o Gródku.

utworzyły się w tej miejscowości duże schedy — Swirczów i Herburtów. Część herburtowska drogą kupna i rozmaitych koligacyi znacznie się powiększyła. Mikołaj Herburt, wojewoda ruski, w 1583 roku powołał tam nowy kościół do życia (po zrujnowaniu pierwszego) p. t. N.M.P., a około tego czasu zastajemy tam posiadaczami, niedługo, jak się zdaje, Potockich; z tych Jakób, żonaty z Jazłowiecką Druzyanną (2 voto), podkomorzy halicki, i Jan (niektórzy go za wnuka Jakóba mają), starosta tłumacki, w 1622 r. posiadali tam swoje „sortes“; ale „ante hosticum“ (przed gospodarstwem Turków na Podolu) byli tam też inni posiadaczami różnych sched, a o Swirczach już nie słychać: przez kądziel ich mienie przeszło do rozmaitych rodów, mających w Gródku, czasowo, swoją własność, lecz najpotężniejsi byli Herburtowie. Post hosticum dziedziczyli na Gródeczyźnie — Zamoyscy (może po Herburtach), którzy z ruin dźwignęli miasteczko i stali się jego prawdziwymi dobrodziejami. Prawdopodobnie już miał tu swoje posiadłości Michał Zdzisław Saryusz Zamoyski, wojewoda Smoleński, VI. ordynat na Zamościu, zmarły w 1735 roku, ale szczególnie odznaczył się w dobroczynnej działalności dla Gródka syn jego Jan Jakób, IX. ordynat, wojewoda podolski, żonaty z Ludwiką Poniatowską, († 1781 r.), siostrę Króla († 1790 r.): on to uposażył tutaj Siostry Miłosierdzia, podźwignął zniszczoną przez Turków farę, ufundował Franciszkanów, sprowadził Mazurów z nad Wisły, którzy dotąd zachowują swoją wiarę i narodowość, starał się handel i rolnictwo podnieść, słowem powołał na nowo do życia nietylko Gródek, ale całą jego okolicę. Jan Jakób Zamoyski miał jedyną córkę Urszulę, która wyszła za Michała z Wielkich Kończyc Mniszcha, marszałka w. kor. (syna Jana Karola i Katarzyny Zamoyskiej), ta wniosła majątki gródeckie w dom Mniszchów. Ślub ich nastąpił 19 lut. 1781 roku w Warszawie u Teatynów (Księga Złota szlachty). Mniszech świat ten pożegnał w Wiśniowcu swoim w 1806 roku, żona go przeżyła, przeniosłszy się do wieczności we Lwowie 1816 roku. Gródeczyznę otrzymał syn ich Karol (1794—1846); ten tu nigdy

nie mieszkał i nie dbał o dobra podolskie, mając ogromne obszary na Wołyniu i w Wiśniowcu, wspaniałej swojej rezydencyi, nagromadził mnóstwo pamiątek historycznych, dzieł sztuki, zebrał ogromną bibliotekę, a sam gorliwie pracował w zakresie historyi i heraldyki. Następnie starszej swej siostrze Elżbiecie oddał za posag klucz gródecki, składający się natenczas: z miasteczka, dusz męskich pełnoletnich poddanych 700; Gródka, wsi Porzecza dusz 406, Bałakirów dusz 104 i Ludwikówki, dusz 155 [1]). Ta Elżbieta była naprzód żoną Dominika Radziwiłła, pułkownika wojsk napoleońskich, ordynata nieświeskiego i ołyckiego, ale się z nim rozwiodła i poślubiła Augusta margrabiego de Ville; ona to sprzedała po r. 1832 swój majątek, w obce oddając go ręce, więc to już nie wchodzi w zakres naszego opowiadania... Ale wracamy już do Sióstr Miłosierdzia [2]).

Pożyteczne to i zacne Zgromadzenie, tyle korzyści i ulgi cierpiącym przynoszące, a zawsze tak doskonale wywiązujące się ze swego wzniosłego zadania, zawitać miało do Gródka około r. 1766; takie mniemanie znaleźliśmy w wizytach kanonicznych tego domu, a i skądinąd [3]) znajdujemy wiadomość, że szpital zbudowany w r. 1765, jakoby przeznaczony na 20 chorych i 40 sierot płci obojej, obsługiwany przez 9 Sióstr. Ta informacya nie wydaje się nam zupełnie pewną; ale to jest faktem historycznym, że Jan Jakób Zamoyski, wyżej wzmiankowany, dnia 16 lutego 1784 uposażył tutejsze Siostry, dawszy im wieś Nowy Świat, część w Bosówce i jurydykę w Gródku, a dla ich kapelana przeznaczył 500 zł. rocznie z intrat klucza gródeckiego; ów kapłan powinien był Siostrom i chorym w szpitalu będącym

[1]) Ks. W. Marczyński, Statystyka gubernii Podolskiej, t. I. Wilno 1822, p. 212.

[2]) Dzieje tego domu oparliśmy na rękopiśmiennych materyałach, znajdujących w resztkach archiwum katedralnego w Kamieńcu.

[3]) Cfr. Mémoires de la Congrégation de la Mission en Pologne Paris 1864, tom II., p. 691; nazwisko fundatora tego szpitala podane w niemożliwem zeszpeceniu — Tlieiski!

usługi oddawać duchowne, a za fundatora trzy Msze tygodniowo odprawiać, po jego śmierci tyleż za jego duszę; Siostry zaś raz na miesiąc spowiadać się i komunikować, ofiarując to za dusze rodziców fundatora, a po zejściu jego z tego świata — za jego duszę. Nadto Siostry miały włożone przez fundatora następujące obowiązki: powinno ich być sześć; jedna z nich przełożona, druga miała pracować w szpitalu, gdzie przynajmniej ma się znajdować 8 chorych (4 mężczyzn i tyleż niewiast), opatrując ich wygodą przyzwoitą i lekarstwami, trzecia dozierać w mieście chorych i ubogich, czwarta prowadzić szkółkę, zaprowadzoną w tym domu, w charakterze mistrzyni miała występować, mając w razie potrzeby wziąć sobie Siostry do pomocy; gdyby kandydatek do takiej edukacyi nie znalazło się, w takim razie Siostry są wolne od tego obowiązku.

Tenże wojewoda podolski zbudował wtedyż dom osobny dla Sióstr, które pierwotnie (t. j. przed rokiem 1784) miały pomieszczenie w innem tam miejscu. Dom ten, murowany o piętrze, tak wyglądał (w 1817 r.): długości 70 łokci, szerokości 26; w środku kaplica z kopułą, wyprowadzoną wyżej od dachu, z krzyżem żelaznym; na dole, po obu stronach kaplicy, 2 sale dla chorych — jedna dla niewiast, druga dla mężczyzn; dalej ku ogrodowi, refektarz, kuchnia, spiżarnia, piekarnia, apteczka, z izbą przy niej, mieszkanie dla sług i jeszcze parę stancyj; wszystkie ze sklepieniem; na górze (sufity tylko) — dormitarz dla Sióstr, przy nim dwie izby; refektarzyk dla panien na nauce będących z alkierzem dla mistrzyni; sala, gdzie się panienki uczyły, osobne pomieszczenia, gdzie spały, pokoje na rozmaite składy przeznaczone etc. Teraz z tego wszystkiego — zwaliska i ruiny... Na przeciwko tego domu w dziedzińcu — oficyna murowana dla Ks. kapelana; dalej stajnia, wozownia, różne zabudowania gospodarskie, gród „o dwóch kondygnacyach, do którego wejście z dziedzińca; w ogrodzie drzew rodzajnych niewiele, więcej ogrodniną zasiewa się“; wszysko to było częstokołem otoczone. Cała ta przestrzeń obejmowała 8 morgów.

W kaplicy zaznaczono, że było: 2 kielichy z patenami srebrne (ważące funtów 28), lichtarzy cynowych 6 (ważących funtów 24); 8 rozmaitych ornatów, kapy, alby, potrzebna bielizna, rozmaite sprzęty (dwie ławki o kilku siedzeniach) itd. Książki wymieniono następujące:

Myśli Roderyusza w trzech tomach.
Prawdy wieczne (bez innych szczegółów) tom I.
Ambona Ducha Świętego (bez autora) t. I.
Przewodnik grzesznika, t. I.
Rozmyślania codzienne, t. I.
Życie Św. Wincentego a Paulo, t. I.
Życie Wielebnej fundatorki Ludwiki Legras, t. I.
Medytacye codzienne, Martyrologium, t. I.
Duch Św. Franciszka Salezyusza, t. I.
Szkoła pobożności, t. I.
Medytacye z Pisma Św. t. I.
Życie Świętych Pańskich, t. I.
Medytacye do Rekolekcyj, t. I.

Jakie dochody miały Siostry gródeckie w XVIII w., tego nie wiemy, ale znana nam jest intrata z tych dóbr w 1817 roku. We wsi Nowym Światem się nazywającej i na ich części w Bosówce (obie w powiecie płoskirowskim) liczono wtedy dymów 112, a we trzy lata później t. z. dusz męskich w Nowym Świecie 194, a w Bosówce 56 [1]). W Nowym Świecie był młyn o 2 kamieniach i stępach i karczma zajezdna. Za karczmę z szynkiem i młynem pobierano arendy rocznej 1800 zł., a w Bosówce za mniejszą karczmę i młyn 1000 złotych. Dochodu rocznego było w tym czasie 8,218 zł. i groszy 9, licząc w to oszacowanie pańszczyzny, rozmaitych danin od poddanych, czynszów różnych etc. Poddani mieli pola ornego morgów 524, a sianożęci 393; a klasztornych gruntów uprawianych 1275 morgów. Od roku 1814 do 1817 t j. za trzy lata wykazano intraty 30 951 zł. i 8 gr., z tego wydano zł. 30,948 gr. 4. Miały też Siostry

[1]) Ks. Marczyński, l. c. p. 291.

zapisy od różnych osób; tak np. w tym czasie od jakiejś generałowej Ojżyńskiej 1000 zł. zapewne potem były jeszcze inne. Na aptekę przez te trzy lata wydano zł. 323, groszy 10. Liczba chorych i kalek rozmaita bywała; w 1824 r. 16 płci obojej podczas wizyty, a w ciągu roku całego poprzedniego chorych mężczyzn 112, niewiast 76; z tej liczby umarły 2 kobiety i sześciu mężczyzn. W razie naglącej potrzeby wzywano do chorych pobliskich lekarzy, a oprócz Sióstr pomoc cierpiącym w infirmeryach przynosił stale tam mieszkający felczer.

Pieczołowitość, staranność Sióstr w tym względzie były wzorowe. To też ks. Ignacy Pawłowski, kanclerz katedry kamienieckiej, wizytując dyecezyę w 1814 roku, tak się wyraził o działalności błogiej tych Sióstr Miłosierdzia: „Nie mogę przemilczeć, abym temu Zgromadzeniu nie oddał sprawiedliwości, albowiem swojem świątobliwem postępowaniem, cnotliwem życiem i miłosiernymi uczynkami, których każdy biedny do nich się udający bez żadnego zmarszczenia doznaje, zasługują na względy u zwierzchności, a na szacunek i miłość całego świata“ [1]).

Oprócz tego zajmowały się Siostry Miłosierdzia w Gródku też pedagogiczną działalnością. O ich tam szkole w XVIII. wieku nie mamy niestety żadnych szczegółów; w XIX. utrzymywały szkółkę parafialną, gdzie uczono czytać i pisać po polsku, katechizmu, po rosyjsku, arytmetyki, rozmaitych robót kobiecych, a niekiedy muzyki na fortepianie. Zwykle same Siostry wykładały te przedmioty, a czasem miewały do pomocy kogoś z niewiast świeckich; ogromna większość panienek bywała płatnych (za wikt i mieszkanie), ale też pewną ilość uczenic miewano bezpłatych, kszałcących się kosztem Sióstr Miłosierdzia.

W roku 1817 zastajemy tam na nauce 13 panienek od lat 7 do 15; a w 1824 roku 34, w tym samym wieku z tych 30 płatnych, a 4 na koszcie klasztoru. W owym czasie mi-

---

[1]) Ks. W. Marczyński l. c., p. 215.

strzynią była Siostra Elżbieta Fedorowiczówna (grająca na fortepianie), a pomagała jej w uczeniu Siostra Józefa Tarnawska i pani porucznikowa Bronikowska.

Liczba uczących się w latach późniejszych zwiększała się ustawicznie i pensya ta miała powodzenie wielkie nietylko u szlachty okolicznej, ale nawet i z dalszych okolic chętnie oddawano tam na naukę. Tak było dotąd, dopóki okoliczności pozwalały na to; po roku 1832 rząd zabronił Siostrom gródeckim nauczać, zmuszone więc były zamknąć swoją szkołę z wielkim smutkiem własnym i naszego tam społeczeństwa [1]).

Jak liczne to Zgromadzenie tutaj w XVIII. w. bywało, niewiemy. Na początku stulecia XIX. około roku 1807 zastajemy 10 Siόstr [2]); znany nam dokładnie personel klasztorny z r. 1817, a że niektóre z tych Sióstr jeszcze w XVIII. wieku tu mieszkały, podajemy dokładnie.

1) Siostra Krystyna Gadomska, lat natenczas mająca 82, powołania 66, w Gródku przełożoną od lat 43.

2) Siostra Elżbieta Sawicka lat 66, powołania 49, w tem miejscu lat 42, trudniąca się gospodarstwem.

3) Siostra Ewa Baranieckiego lat 65, w Zgromadzeniu 44, w Gródku 35, pracująca w infirmeryi.

4) Siostra Zofia Borzechowska lat 54, w Zgromadzeniu 35, w Gródku 17, zajmująca się westyaryą.

---

[1]) Szkoły żeńskie po klasztorach do r. 1811 były pod władzą Uniwersytetu wileńskiego, potem, aż do roku 1835, pod wyłączną władzą kiskupów; po roku tym oddano je pod nadzór ministra oświaty; ale wtedy już niewiele takich szkół było. Siostry Miłosierdzia posiadały jeszsze, przeważnie na Litwie, 7 (siedm) szkółek, w których uczyło się 719 dziewcząt; po nich najludniejsze były szkółki Maryawitek: szkół 12, uczenic 237; Benedyktynki miały jeszcze 5 szkół z 82 dziewczętami; Bernardynki 3 z 63, Wizytki 2 z 52; Dominikanki, Cysterki, Katarzynki po jednej szkole i kilka zaledwie panienek. Cfr. Zurnał narodnago proświeszczenia 1837, listopad.

[2]) Cathalogus personarum et officiorum Congregationis Missionis in imperio Rossiaco existentium in Anno 1808 conscriptus“. Bez miejsca i roku druku.

5) Siostra Anna Stadkiewiczówna lat 38, powołania 13, w tem miejscu 10, trudniąca się kuchnią.

6) Siostra Józefa Zawadzka lat 33, w Zgromadzeniu 11, w Gródku lat 9, na jej pieczy kaplica.

7) Siostra Józefa Tarnawska lat 39, powołania 4, w Gródku lat tyleż, mistrzyni.

8) Siostra Franciszka Lewandowska lat 21, powołania 2, dwa też lata w Gródku, na usługach chorych.

Przełożona Gadomska prędko potem musiała umrzeć, a od r. 1820 na czele domu stanęła Antonina Księżopolska, mająca w 1824 roku lat 58, powołania 38. W tym czasie z dawniejszych Sióstr zastajemy jeszcze Ewę Baraniecką, Zofię Borzechowską, Józefę Tarnawską i Franciszkę Lewandowską, nowych 4, więc razem 9.

Ale zbliżał się złowrogi dla Zakonów rok 1832, kiedy to tyle klasztorów zabrano, a duchowne osoby rozegnano, szerząc ruinę i zniszczenie wielkie... Zgromadzenie XX. Misyonarzy, stosunkowo mniej wtedy ucierpiało, ale w dziesięć lat później nastąpiła niemal zupełna zagłada tej pożytecznej a wzniosłej i zacnej instytucyi. Domy Sióstr Miłosierdzia, tu i ówdzie, pozostały do czasu, ale ogołocone zupełnie i odsunięte od swojej działalności szczytnej: zabrano im szkoły, zabroniono nauczać, zamknięto szpitale, nie pozwalano pielęgnować chorych i cierpiących, konfiskowano majątki, zagarnięto wszelkie dochody. Wszystko to tak się i w Gródku stało. Pozostawionym do wymarcia domom wyznaczoną szczupłą bardzo roczną opłatę.

Cytowane wyżej Pamiętniki o Zgromadzeniu XX. Misyonarzy w Polsce opisują bardzo dokładnie [1]) o strasznie przykrym wypadku, który miały Siostry gródeckie. Gdy je pozbawiono tam tej ich pożytecznej działalności, dano im do zrozumienia, że mogłyby pracować w Kamieńcu w szpitalu wojskowym, ale należy do gubernatora o to podanie uczynić po rosyjsku; Siostry zgodziły się na to, a że nie znały ję-

[1]) Mémoires l. c. p. 712—714.

zyka rosyjskiego, więc znalazł się jakiś usłużny, który im napisał tekst po rosyjsku, a obok jakoby tłómaczenie polskie załączył; Siostry miały własnoręcznie jedno i drugie podpisać. Tymczasem po rosyjsku było wyrażono, że Siostry nietylko przyjmują zajęcie w szpitalu wojskowym, ale się też zgadzają panujące w Rosyi przyjąć wyznanie. Gdy taka gruchnęła w Kamieńcu wiadomość, to biskup kamieniecki przysłał kanonika do Gródka, aby zasięgnąć o tem języka, i wtedy dopiero Siostry o stanie rzeczy się dowiedziały. Przełożona Józefa Niesiałowska — tak ją Pamiętniki nazywają, lecz w spółczesnych drukach jej nazwisko Nasiłowska podano — pojechała natychmiast do Kamieńca, dotarła do gubernatora, wyrzucając oszukaństwo owego tłómacza ich podania; zaznaczając przytem wyraźnie i stanowczo, że żadna z nich nie zmieni swego wyznania, raczej gotowe są na prześladowania za wiarę i nawet na męczeństwo.

Z pośpiechem usunięto ją z przed oblicza wielkorządcy podolskiego i Siostra Józefa potem do Gródka powróciła, lecz tam wyrzucono wszystkie Siostry z ich domu własnego. Musiały się czas jakiś tułać w miasteczku, zanim wpływowe, wysoko postawione osoby nie wymogły na gubernatorze, że im nakoniec do ich klasztoru powrócić pozwolił.

Smutne odtąd się zaczyna Sióstr życie w Gródku, niemogących czynić zadość swojej regule i powołaniu... Takich lat było dwadzieścia kilka.

W roku 1846 zastajemy w Gródku następujące Siostry:

1) Józefę Nasiłowską, lat 55, wokacyi, 38, profesyi 33.

2) Józefę Tarnawską, lat 66, wokacyi 31, profesyi 28.

3) Teklę Szkrodzką, lat 56, wokacyi 34, profesyi 29.

4) Klementynę Jastrównę, lat 39, wokacyi 22, profesyi 17.

5) Agnieszkę Pieńkowską, lat 37, wokacyi 18, profesyi 14.

9) Agnieszkę Orłowską, lat 55, wokacyi 34, profesyi 29.

10) Paulinę Horbatównę lat 37, wokacyi 20, profesyi 15.

11) Balbinę Jabłońską, lat 26, wokacyi 11, profesyi 7.

W r. 1855 już tylko trzy Siostry [1]): Nasiłowska, Jabłońska i Dobratyńska lat mająca 37, wokacyi 20, profesyi 19. Siostra Jabłońska Bogu ducha oddała w 1859 roku; potem Siostra Tarnawska znowu w Gródku była i Siostra Julia Skinderówna i te cztery mieszkały tam już do końca istnienia tego domu; zamknięto go ostatecznie po roku 1865.

Ostatnim Misyonarzem w Gródku był ks. Jan Dargewicz, którego znajdujemy w katalogu z r. 1837 w liczbie kleryków seminarzystów; zaznaczono mu wtedy lat 22, a w seminaryum rok drugi; ur. 1868 r. był proboszczem na Podolu w Nowym Konstantynowie; potem powtórnie w Gródku wikarym, później znowu w Nowym Konstantynowie. W 1875 mieszkał u Kapucynów w Winnicy, w roku następnym znowu w Gródku dość długo i zapewne tam Pan Bóg powołał go do chwały swojej, około r. 1892... [2]).

Teplik.

Teplik — w dawnem województwie i powiecie bracławskim, teraz w gubernii podolskiej w powiecie hajsyńskim nad rzeczką Tepliczką. Pod nazwą Śmiałgrodu w XV. w. należał do rodziny Koszków, posiadającej tam ogromne obszary; potem przeszedł do Zabokrzyckich i Kalinowskich, a po wygaśnięciu ich (przynajmniej na Rusi) stał się własnością Potockich z linii Szczęsnego. Syn jego Stanisław, 1782—1831, z Mniszchówny, generał napoleoński, następ-

---

[1]) Na podstawie Directoriów owoczesnych.

[2]) Przy tej okazyi notujemy, jaka była ilość Misyonarzy, tych zacnych, a gorliwych pracowników w Winnicy Polskiej, za czasów Rzeczypospolitej, przed pierwszym Kraju rozbiorem: domów 30, kapłanów 193, kleryków 43, laików 58 = 294. Z tego pozostało u nas: domów 19, kapłanów 132, kler. 43, laik. 43 = 218. Austrya zabrała: domów 7, z 36 kapłanami i 9 laikami = 45. Prusy wzięły: domów 2, z 13 kapłanami i 3 laikami = 16. Do Rosyi odpadło: domów 2, zkapł. 12, laik. 3 = 15.

Cfr. Maciej Loret, Kościół katolicki a Katarzyna II. Kraków—Warszawa 1910.

pnie radca tajny dworu petersburskiego, żonaty z Katarzyną Branicką, h. Korczak, hetmanówną — był panem klucza teplickiego. Zostawił on jedyną córę Aleksandrę, znaną bardzo w swoim czasie, żonę Augusta Potockiego z Wilanowa, bezdzietną, ona to darowała Teplik (i inne swoje majątki) Konstantemu Potockiemu, 1846—1909, wnukowi Jarosława, też syn Szczęsnego i Mniszchówny; Konstanty został I. ordynatem teplickim. Otóż Katarzyna z Branickich Potocka fundowała tutaj Siostry Miłosierdzia [1]) w 1825 roku, zbudowała szpital, schronisko dla sierót, a Siostry uposażone w liczbie 7 początkowo, uczyły też panienki, dopóki można było. Niestety nie mamy wyczerpujących szczegółów o tej siedzibie miłosierdzia i oświaty! Rok 1842 tutaj, jak i gdzieindziej, zniszczył zupełnie błogą działalność miłości bliźnich, chociaż Siostry zostały tam jeszcze i, jak się pięknie owe Mémoires wyrażają, „depuis ce temps font des bonnes oeuvres avec ce que leur envoie la Providence“...

W r. 1846 zastajemy w Tepliku jeszcze następujące Siostry:

1) Franciszkę Lewandowską, lat 51, powołania 32, profesyi 31.

2) Salezyę Koszmanównę lat 66, powołania 32, profesyi 31.

3) Maryannę Kukszynównę, lat 77, powoł. 51, profesyi 46.

4) Wincentę Kopczyńską, lat 41, powoł. 27, profesyi 22.

4) Honoratę Zdanowiczównę, lat 44, powołania 24, profesyi 21.

W r. 1857 Siostry Kukszynówny już niema, natomiast zaznaczono Agnieszkę Pieńkowską. W r. 1861 Siostry Koszmanówny już nie znajdujemy, a jest Klementyna Jastrówna i taki personel, zapewne pozostał do kasaty, która nastąpiła jednocześnie z Gródkiem.

Smora.

---

[1]) Mémoires l. c. p. 692

Zakład imienia ks. Siemaszki dla biednych i opuszczonych chłopców.

Ostatnie sprawozdanie tej instytucyi umieściliśmy w Rocznikach w roku 1908. Od tego czasu Zakład znacznie się rozwinął, jeżeli nie doszedł do szczytu swego rozwoju. Obecnie liczy 210 wychowanków. Z dniem 1-go września 1909 roku otwarto nawet w domu wakacyjnym w Czerny pod Krzeszowicami filię zakładu, gdzie obecnie stałe umieszczenie znajdują drobne sieroty we wieku od 6 do 8 lat w liczbie 43. Stopniowy wzrost wychowanków zakładu, tudzież koszta ich rocznego utrzymania przedstawiają się w następujących cyfrach:

W dniu 20-go maja 1904, w dzień śmierci fundatora ś. p. ks. Siemaszki Zakład liczył 23 sieroty.

1 września,	wychowanków było,	koszta	roczne	utrzymania	K	h
1906	79	„	„	„	22.997	82
1907	120	„	„	„	34.380	11
1908	157	„	„	„	43.801	09
1909	167	„	„	„	47.565	32
1910	200	„	„	„	48 389	99
1911	210	„	„	„	55.345	25*

---

*) Dla porównania kosztów utrzymania sierót, administracyi, zarządu w zakładach krajowych podaję tu niektóre dane ze sprawozdań za rok 1907. Utrzymanie 151 wychowanków w schronisku Lubomirskich w Krakowie wraz z administracyą kosztowało 71.647 koron; 70 sierót w zakładzie św. Józefa za rok 1906: 52.487 koron; 343 sierót (222 chłopców i 121 dziewcząt) w zakładzie fundacyi hr. Skarbka w Drohowyżu za rok 1907, koron 267.748 hal 33, choć w ostatnim 33 651 koron musimy policzyć na koszta różnych inwestycyi, jakie zaprowadzono.

Te korzystne wyniki pod względem finansowym są możliwe tylko przy pomocy Zgromadzenia, które bezpłatnie poświęca swoje domy, ludzi i daje im najzupełniejsze i całkowite utrzymanie na swój koszt, by insytucyi nie obciążać. Inwestycye i adaptacye budynku w Czerny, sprawienie nowego inwentarza prawie w całości w obu zakładach, tudzież



Zakład w Krakowie przy ulicy Długiej.

długi hipoteczne obciążyły znacznie budżet w latach 1909 i 1910, i przyprawiły o wielkie niedobory, trwające jeszcze do dnia dzisiejszego.

Ten świetny rozwój zakładu sprowadziły najrozmaitsze przyczyny. Najpierw brak innych instytucyi tego rodzaju, możność wszechstronnego wykształcenia po szkołach i pierwszorzędnych pracowniach rzemieślniczych w Krakowie, szersze zajęcie się losem sierot i opuszczonych w społeczeństwie sprowadzone przez krakowską Radę opiekuńczą, przystępne

warunki zakładu i rękojmia pedagogiczna, jaką dają ludziom zakłady prowadzone przez duchownych. Niestety, najwięcej młodzieży zgłasza się do szkół; nawet najubożsi przyprowadzając sieroty lub dzieci do zakładu, a zwłaszcza chłopi pragną zawsze, by ich dzieci uczyły się dalej „na książce“, choć już pokończyły szkoły ludowe. Na odmowę, że zakład na dalsze kształcenie nie posiada środków, zwykle następuje krótka odpowiedź: „rząd ze mnie zedrze, a księdzu da“, i ostatecznie z bólem serca oddaje syna do rzemiosła. Chorobliwy ten objaw przybrał w naszem społeczeństwie wprost zastraszające rozmiary, gdy się pomyśli, że ludność Galicyi w 83% poświęca się rolnictwu, w 16% handlowi i przemysłowi (w tem 13% żydzi) a 1% zaledwie zawodom naukowym. Zakład w zupełności uległby zalewowi przez młodzież szkół średnich, gdyby nie specyalna czujność Zarządu nad młodzieżą rzemieślniczą, która w liczbie 71 uczniów znajduje w Zakładzie schronienie, choć do wychowania tej młodzieży, jako najuboższej, Zarząd musi najwięcej dokładać i narażać się na niepewność i ryzyka pod względem finansowym. Zakład niema ani warsztatów, ani szkoły domowej; wszystka młodzież uczęszcza do pracowni do miasta, tudzież do szkół publicznych. Wpływ wychowawczy Zakładu odnosi się przedewszystkiem do opieki domowej, wychowania relgijnego, i do przeciwdziałania złym wpływom miasta. Skądinąd praca Zakładu jest znacznie ułatwiona, tak w zakresie szkolnym, jak zwłaszcza w rzemieślniczym; uczniowie mają świadectwa ze szkół publicznych, a terminatorzy pracując po warsztatach i sami po wyzwolinach wyszukują sobie miejsca; zarząd niema z tem żadnych trudności. Ogół młodzieży w Zakładzie dzieli się na trzy działy. Dział terminatorów liczy 71 wychowanków, dział uczniów szkół wydziałowych, średnich, handlowych, przemysłowych i seminaryum nauczycielskiego 57, dział uczniów szkół ludowych 74, nie uczęszcza do szkół 8 Z tej liczby sierót zupełnych jest 44, sierót bez ojca 68, bez matki 5, oddanych wskutek nieszczęść domowych do zakładu. 8, wskutek chorób rodziców (obłęd) 4, dzieci emigrantów

amerykańskich 5, wreszcie kilku z zamożniejszych domów skazanych na rygor i ostre warunki zakładu i 54 przeważnie synów ubogich włościan i robotników zajętych w najrozmaitszych zawodach. Co do przynależności i pochodzenia wychowanków, to z Krakowa i najbliższej okolicy pochodzi 56, z dalszych gmin kraju 102, z Królestwa Polskiego zwłaszcza z pogranicza, z Litwy, Podola, Wołynia 46, z Prus 3, z Węgier 1, z Ameryki południowej 1 i z Chin 1 (rodowity Chińczyk). Następujące stowarzyszenia i władze umieściły sieroty w zakładzie: Krakowska Rada opiekunka sierót 23, Wydział krajowy na koszt krajowego funduszu sierocego 19, Magistrat miasta Krakowa 9 i Towarzystwo św. Salomei ze Zakopanego 4. Poza zakładem pod opieką Zarządu zostaje sierót 20, mianowicie: 2 lokajów, 1 cukiernik, 2 kucharzy, 4 szewców, 3 stolarzy, 3 kupców, 2 u wieśniaków na wychowaniu, 2 ogrodników, a 2 w domu do umieszczenia. Za pośrednictwem Zakładu Rada opiekuńcza krakowska umieściła 15 sierót w zakładach: w Pawlikowicach, Miejscu Piastowem i w Bóbrku pod Oświęcimem.

Rozwój i opieka oddziałów pojedynczych młodzieży przedstawia się w następujący sposób:

O d d z i a ł m ł o d z i e ż y r ę k o d z i e l n i c z e j czyli terminatorów liczy 71 chłopców od 14 do 18 roku życia. Według zawodów jest; ślusarzy 29, blacharzy instalatorów 11, stolarzy 1, introligatorów 4, uczniów szkół przemysłowych 2, kupców 6, kotlarzy 2, kucharz hotelowy 1, tokarz 1, rymarz 1, kamieniarz 1, brązowników 2, elektrotechników 2, malarz 1 i na próbie 8. W roku 1910 i 1911 wyzwoliło się 9 ślusarzy, 1 ruśnikarz, 1 bronzownik, 5 kupców i 3 blacharzy instalatorów.

Wszyscy terminatorzy muszą uczęszczać do szkół przemysłowych — zawodowych przez trzy lata, pięciu zdolniejszych ukończyło kurs dodatkowy maszynistów we wyższej szkole przemysłowej. Ten dział młodzieży wymaga największej opieki; pracuje bowiem w najgorszych częstokroć warunkach moralnych. Mimo najlepszej woli majstrów i ich usiło-

wań, by zgorszenie powstrzymać, chłopcy ci od rana do wieczora muszą słuchać nieustannej klątwy, najobrzydliwszych rozmów, pieśni i nieustannych wygadywań na Kościół i księży. Mimo złych wpływów miasta i socyalistycznych czeladników dział ten prowadzi się na ogół dobrze; zaledwie dwóch terminatorów zasłużyło na wydalenie, trzech zbiegło samo-



Oficyny Zakładu

wolnie; częściej zdarza się opuszczenie zakładu w trzecim lub czwartym roku terminu, gdy już coś zarabiają i z biedą mogą pokryć koszta swego utrzymania w mieście. Wśród terminatorów pochodzących z Krakowa zdarza się to najczęściej. Te ujemne wpływy miasta równoważą zato terminatorzy pochodzący ze wsi. Jest to materyał pod względem moralnym znakomity, a przez majstrów poszukiwany i wśród młodzieży rękodzielniczej w zakładzie jest takich 56. Prawie wszyscy są synami ubogich wieśniaków; zakład przyjmuje ich zupełnie bezinteresownie z początku, dopiero później opłacają ze za-

robków koszta swego utrzymania choć w minimalnej części kwotą 12 koron na miesiąc. Z reszty zarobku sprawiają sobie ubranie i obuwie i tu pomaga im Zakład w miarę możności, licząc na odszkodowanie w późniejszych latach i wdzięczność, która jednak najczęściej zawodzi. Do użytku terminatorów istnieje w zakładzie biblioteka z 250 tomów, z której skrzętnie korzystają, zwłaszcza w porze zimowej. Nadto dla wykształcenia ich odbywają się wykłady z obrazami świetlnymi, wreszcie nauki religijne w święta i niedziele i okolicznościowe w razie przystąpienia do świętych Sakramentów. Współdziałanie i praca szkół i Zakładu wyrabia rzeczywiście terminatorów i wielu z nich po czteroletniej praktyce wychodzi na pierwszorzędnych inteligentnych czeladników i znowu młodzież z prowincyi wyprzedza tu znacznie młodzież miejską. W ogóle, Zakład, gdyby miał dogodniejsze rozmieszczenie, większą liczbę sił pedagogicznych i większe środki, mógłby więcej jeszcze rozwinąć pracę nad tym działem młodzieży, bo to jest bezwątpienia najważniejsza praca dla przyszłości kraju i społeczeństwa. Już i zrozumienie dla rzemiosła zwolna się budzi i nie brak zgłoszeń do rękodzieł, brak jednak środków staje na przeszkodzie w przyjęciu większej jeszcze liczby terminatorów, zwłaszcza, że ofiary na młodzież biedną, dawniej tak hojne, dziś zupełnie ustały.

D z i a ł u c z n i ó w obejmuje 131 chłopców, z tej liczby uczęszcza 74 do szkół ludowych, a 57 do szkół wydziałowych, przemysłowych, handlowych i średnich. Dział ten najczęstszej ulega zmianie, bo rok rocznie kilkunastu przechodzi do oddziału terminatorów lub do innych zawodów wyższych; obejmuje on uczniów przeważnie klas niższych, pospolicie bowiem, obierają sobie ci uczniowie po kilku latach zawody praktyczne, lub idą do szkół handlowych i przemysłowych, tak, że dopiero w roku obecnym zdarzył się pierwszy maturzysta który egzamin dojrzałości zdał z odznaczeniem. W ogóle, nie jest celem Zakładu przeprowadzać uczniów zupełnie przez szkoły średnie i zarząd stara się usilnie

zwrócić ich do pracy przemysłowej i handlowej, po kilku klasach gimnazyalnych lub wydziałowych. Ten dział młodzieży, jako pozostający pod wpływem szkół i Zakładu, przedstawia się najlepiej i nie wymaga nad sobą tak gruntownej i podstawowej pracy, jak młodzież rzemieślnicza, narażona na przerażające zgorszenie ze strony socyalistycznych czeladników. O ile rygor Zakładu jest znośnym dla terminatorów pracujących skądinąd pod rozkazami swych przełożonych, to o tyle regulamin Zakładu wymagający hartu posłuszeństwa jest dla wielu uczniów wprost nieznośny zwłaszcza dla tych, co zażywali wielkiej wolności i swobody, jakto często bywa u młodzieży z Krakowa. Złe postępy w naukach sprowadzają obostrzenie regulaminu już i tak ścisłego lub ustąpienie ze Zakładu albo obrócenie do innego zawodu i ten rodzaj pedagogiki dobre wydawał i wydaje skutki. Zakład bowiem mając wychowywać młodzież biedną uchybiłby przeciw zasadniczemu swemu zadaniu, gdyby wychowywał sieroty w pojęciu dostatku czy wygód, a w przyszłem życiu naraziłby ich na przykry zawód lub rozgoryczenie, jak to często ma miejsce w zakładach hojnie wyposażonych.

Ciasnota Zakładu, a zwłaszcza brak sali teatralnej, nie pozwala wyzyskać zdolności wielu z tych uczniów, coby się przyczynić mogło jeszcze więcej do podniesienia ich umysłowego poziomu i życia koleżeńskiego.

Do Zakładu w Krakowie należy i filia jego w Czerny stanowiąca z nim jedną całość. Położona w górzystej okolicy Krakowa w pobliżu Krzeszowic, oznacza się zdrowem górskiem powietrzem, które w połączeniu z kąpielami rzecznemi o czerstwej źródlanej wodzie, zapewnia małym wychowankom świetny stan zdrowotny. Cisza i osamotnienie, tudzież dobry rozkład domu i stosunkowo niewielka liczba wychowanków — pozwala zająć się nimi wszechstronnie. Przypływ większych środków mógłby dopomódz do jeszcze większego rozwoju tego Zakładu. Budynek zakładowy w Czerny, wystawiony w 1898 roku słu-

żył do roku 1909 tylko za dom wakacyjny dla uczniów z Zakładu krakowskiego; od września 1909 przeniesiono tam najmłodszych wychowanków 6 do 8 letnich tudzież słabowitych i chorych. W obec dobrych warunków zdrowotnych otwarto tam Zakład stały dla drobnych sierót. Wpierw jednak osuszono dom po długiej i mozolnej pracy przez za-



Filia Zakładu w Czerny.

prowadzenie pod budynkiem betonowej kanalizacyi, zdrenowano podwójnie otoczenie domu, urządzono wodociągi, łazienki i odnowiono cały dom zewnątrz i wewnątrz przy wielkim nakładzie pracy i pieniędzy. W ostatnich trzech latach rozwój Zakładu w Czerny przedstawia się w następujących cyfrach;

Rok	1909	chłopców	25	rozchód	5.073·99 K	dochód	3.239·40	K
„	1910	„	35	„	8.238·41 „	„	6.339·00	„
„	1911	„	40	„	8.218·83 „	„	6.259·42	„

Rozchody przewyższają znacznie dochody wskutek adaptacyi budynku do celów zakładowych i byłyby jeszcze

większe, gdyby nie praca własna braci Zgromadzenia i życzliwa pomoc ludzi z Górnego Ślązka, która pozwoliła to uskutecznić przy zmniejszonych wydatkach. Pozostaje jeszcze wiele do roboty, lecz ufni w pomoc Opatrzności Bożej spodziewamy się jej dokończenia. Wszystkie sieroty w Czerny, z wyjątkiem najmniejszych i chorych uczęszczają do tamtejszej szkoły ludowej. Przy tej sposobności zaznaczyła się w przykry sposób niewdzięczność tamtejszych wieśniaków, że dzieci nie chcieli dopuścić do szkoły i oskarżali Zakład przed władzami, choć prawie za półdarmo używali Zakładu przez dziesięć lat na szkołę. I grunt sam procesem trzeba było oczyścić z różnych pretensyi urojonych i tak dopiero można tam było przenieść Zakład. Wychowanków z Czerny po ukończeniu tamże kilku klas przewozi się na dalszą edukacyę do Krakowa, a na miesiące wakacyjne zjeżdżają tam uczniowie ze Zakładu krakowskiego na wypoczynek, by zaczerpnąć nowych sił do pracy całorocznej przez przechadzki po cudnej okolicy. W obec ciasnoty Zakładu w Krakowie i koniecznych rok rocznie reparacyi, zakład w Czerny stał się wprost koniecznym.

Wogóle, wobec małej ilości zakładów sierocych w naszym kraju, tudzież, że Zakład oparty o miasto, jego zakłady naukowe i pierwszorzędne pracownie dają możność wszechstronnej nauki i wyzyskania zdolności wychowanków, można być pewnym, że na kandydatach mu nigdy zbywać nie będzie, niestety nie dopisują środki, któreby pozwoliły przy obecnej drożyźnie na jego rozszerzenie lub przebudowę, która z roku na rok staje się konieczniejszą. Ten brak, względnie nieustanne zabieganie za środkami utrzymania nie pozwala Zarządowi na spokojne prowadzenie Zakładu i odwodzi we wielkiej mierze od zupełnego się mu poświęcenia. Niemniej z przykrością przychodzi odmawiać biednej młodzieży wiejskiej przyjęcia do Zakładu z powodu braku miejsca, a jeszcze więcej z powodu braku środków na ich skromne utrzymanie; a liczba takich z powodu nawoływań do uprzemysłowienia kraju wzrasta z dnia na dzień.

Zakład choć do dziś dnia ma opinię Zakładu o pedagogice prostej i w pewnej mierze surowej, cieszy się ogólnem uznaniem, jak to świadczą układy; z Radą opiekuńczą, z Wydziałem krajowym i Magistratem miasta Krakowa, który układ zerwany w roku 1903 obecnie na nowo nawiązał. Stan zdrowotny Zakładu nie pozostawia nic do życzenia, dzięki sumiennej i bezinteresownej opiece lekarskiej Dra Murdzieńskiego; nie było wypadku choroby zakaźnej, a w ostatnich czterech latach umarło trzech chłopców: dwóch na wewnętrzne zakażenie krwi, a jeden na katar żołądka. Odosobnienie drobnych sierót w Czerny przyczyniło się do tego w niemałej mierze i dobrze wpłynęło na stan ich zdrowia. Naturalnie, wobec tak wielkiego zróżniczkowania wychowanków, uwaga, czujność i kontrola jest wielce utrudnioną i nużącą, to też pomnożenie liczby wychowawców jest wprost koniecznem, zwłaszcza w przyszłym nowym Zakładzie. Zakład zamknięty ze swą własną szkołą i warsztatami daje bez wątpienia lepsze rezultaty pedagogiczne, ale zato dobór chłopców do zajęć jest utrudniony i jednolity, nie zawsze odpowiadający wybitniejszym zdolnościom niejednego z wychowanków. Zakład nie ponosi też całkowitej odpowiedzialności za wychowanie swej młodzieży, bo nie odrywa jej od życia publicznego, a szkoły współpracują w tem dziele, tak, że powstrzymanie wad, złych wpływów, umiejętne wykazywanie niebezpieczeństw pozostaje głównem zadaniem Zakładu. Z tego względu Zakład poczuwa się też do miłego obowiązku wdzięczności dla tych wszystkich, którzy mu we wzniosłym dziele wychowania pomagają; a zwłaszcza Panowie Nauczyciele i Nauczycielki ze szkół św. Floryana i św. Wojciecha w Krakowie i ze szkoły ludowej w Czerny. Z dobrodziejów dawniej tak licznych pozostało już tylko Zgromadzenie Księży Misyonarzy, na które spada dzisiaj cały ciężar utrzymania tego Zakładu. Instytucye publiczne jeszcze zasilają szczupłe fundusze Zakładu skromnemi zapomogami, jak Wysoki Sejm krajowy, krajowa Komisya przemysłowa, Kasy Oszczędności miasta Krakowa miejska i powiatowa, Arcybractwo Miło-

sierdzia, Izba handlowa i Ministeryum robót publicznych. Przedstawiając to sprawozdanie Zarząd spodziewa się, że tem obudzi dawne zainteresowanie się nim w szerokich sferach społeczeństwa, które wobec jego publicznego pożytku, pospieszą mu zapewne z pomocą przy przewidywanej budowie nowego zakładu.

Kraków, w czerwcu 1912 roku.

Ks. Jan Rzymełka,
Dyrektor Zakładu.

Cudowny Obraz Pana Jezusa Urzyżowanego
w kościele Księży Misyonarzy w Milatynie Nowym.

VI.

Uposażenie klasztoru OO. Karmelitów Bosych.

Jan Wacław von Margelik, radca dworu, referent do spraw Galicyi w zjednoczonej kancelaryi czesko-austryackiej, którego Józef II. w r. 1783 wysłał do Galicyi na trzymiesięczną podróż inspekcyjną, twierdził, że licznie fundowane klasztory w Galicyi były tylko wynikiem próżności szlachty, że dotowała je tak nędznie, iż cały ciężar ich utrzymania spadał w istocie na chłopa. Nie tu czas i miejsce na odparcie zarzutow, bardzo wielu pobożnym fundatorom robionych przez zdeklarowanego germanizatora, gorącego przeciwnika duchowieństwa zwłaszcza zakonnego i typowego przedstawiciela ówczesnej „humanitarnej“ inteligencyi urzędniczej, należącej do tzw. „Aufklärungs-Partei“, czyli do najgorętszych rzeczników nowego kursu Józefińskiego [1]). Jeżeli jednak znajdowały się istotnie w Galicyi tu i ówdzie klasztory „nędznie fundowane“, to z pewnością do nich nie należał klasztor OO. Karmelitów w Milatynie. Wprawdzie nie posiadał on latifundyi takich, w jakie ufundowane były klasztory, które założono w XV. lub XVI. w.; bądź co bądź, posiadłości i dotacya jego była znaczna, skoro, jak wyżej była mowa, mógł się konwent milatyński zgodzić na płacenie pewnego dożywocia pp. Sobieszczańskim, właścicielom

---

[1]) Dr. W. Tokarz: Galicya w początkach ery Józefińskiej w świetle ankiety urzędowej z r. 1783. Kraków 1909.

Nowego Stawu, w zamian za oddanie dla ich kościoła w Milatynie obrazu Pana Jezusa, uznanego w 1747 za łaskawy, przystąpić do budowy świątyni tej okazałości i rozmiarów jaka dzisiaj w Milatynie się znajduje, oraz myśleć o zbudowaniu klasztoru na wielką skalę, który byłby niewątpliwie tu stanął, gdyby nie kasata.

W skład dotacyi wchodził najpierw zapis p. Teresy Łączyńskiej wynoszący 33.000 złp. Nadto oddała im na własność znaczny obszar ziemi okalający klasztor, który nie był jednak widocznie ściśle określony, skoro w 1775 wybuchł spór o granice terytoryalne pomiędzy Karmelitami a Maciejem Skorupką, sędzią najwyż. trybunału i dziedzicem ówczesnym Milatyna i Bezbrud [1]. Po ukończeniu tego sporu, nastąpił szczegółowy opis granic fundacyi Milatyńskiej, skutkiem czego, jak była wyżej mowa, rzeczona fundacya, stanowiąca integralną część dawnego Milatyna, otrzymała nazwę „Milatyn Nowy", czyli w ścisłem tego słowa znaczeniu „fundacyi", pomimo, że po dziś dzień obie osady, tj. Milatyn stary i nowy, stanowią jeszcze dotąd jedną całość katastralną. Również te rozmiary fundacyjnego terytoryum z r. 1775 nie są mi bliżej znane. Pod ręką mam tylko odpis z arkusza posiadłości gruntowej z r. 1788, wedle którego Karmelici Bosi posiadali w Milatynie [2]: ogród pomiędzy murami klasztornymi o powierzchni $109^1/_6$ sążni kwadr., chmielnik 490 sążni kw., ogród z podwórzem 281 sążni kw., pastwisko 5700 sążni kw., klasztorny folwark, którego bliższe szczegóły nie są podane. Obok folwarku był ogród $1277^4/_6$ sążni kw., dalej był lasek zw. „babi chłód" z pastwiskiem jednem i drugiem obok figury 71195 sążni kw., ogród szpitalny 60 sążni kw., wreszcie staw jeden 30.756 sążni kw. i drugi 26.245 sążni kwadratowych. Powyższy wykaz posiadłości gruntowych dawnego klasztoru Karmelitów, jest mojem zdaniem, niewyczerpujący i nie miarodajny. Już to samo,

---

[1]) Lib. memor. 1904 confectus p. 9.

[2]) Lib. memor. t. I.

że został dopiero spisany w trzy lata po kasacie, musi budzić pewne wątpliwości, co do jego wiarogodności. Prócz tego liczne i obszerne zabudowania gospodarcze i folwarczne, wyszczególniane na innem miejscu, nie miałyby racyi bytu, a OO. Karmelici wybudowali je chyba nie na to, by pustką stały. Możnaby jednak powyższy wykaz przyjąć z tem zastrzeżeniem, że pominięto w nim całe terytoryum, które zajmuje dzisiaj miasteczko Milatyn Nowy, a które stanowiło wówczas jednolity łan klasztorny, na którym sami Karmelici wybudowali domki dla niezbędnych im rzemieślników, które im w końcu wraz z ogródkami na własność oddali [1]). Odtąd, jak wykazałem na innem miejscu, datują się dotąd utrzymane nazwy: fundaczanie, fundaczanki, na określenie tutejszej ludności; mieszka na fundacyi, tj. mieszka w Milatynie, idę na fundacyę, tj. idę do Milatyna itd.

Drugiem zródłem dochodu były liczne prestacye i przywileje, w jakie klasztor w Milątynie był wyposażony. Wprawdzie znów nie mam szczegółowego wykazu urzędowego tych przywilejów, są one jednak po części zawarte w ostatniej woli Karmelitów opuszczających Milatyn z dnia 11 czerwca 1785 r. Akt ten podaję na tem miejscu w całej osnowie, w dosłownem brzmieniu, jużto z powodu doniosłej treści jego, jużto, by go przechować, bo oryginał ledwo jest czytelny, mógłby więc łatwo przepaść dla następców. Oto więc jego osnowa:

„Oznajmujemy tym listem naszym, iż z woli Najwyższego Boga będąc usunięci z rozkazu Najjaśniejszego nam łaskawie panującego Monarchy Józefa II. z Klasztoru, od czasu Najjaśniejszego Króla Michała, z rozległymi przywilejami aprobowanymi przez Antecesorów Jego, naszemu Konwentowi OO. Karmelitów bosych nadanego — przyjmu-

---

[1]) Według relacyi starostów, najurodzajniejszą ziemią w Galicyi był cyrkuł brodzki i złoczowski, do którego należał Milatyn. Te powiaty stanowiły główny teren wywozu żyta i pszenicy, a zarazem spichlerz Galicyi. Radca gubernialny w r. 1788 wyraża się też pochlebnie o wzorowem gospodarstwie w dobrach Łączyńskich. cf. Tokarz l. c.

jemy tę wolę Bożą i najłaskawszego Monarchy z pokorą i determinacyą. — Chcąc zaś z nadanej nam powagi i przysługującej nam z najwyższej Naszego Monarchy Woli korzystać z porozumieniem się z Jaśnie Wielmożnym Skarbnikiem i dziedzicem włości Milatyna, Michałem Skorupką: legujemy, darujemy i wiecznymi czasy odstępujemy nasze prawa, przywileje i Wota zawsze nam miłym, uczciwym i bogobojnym parafianom Milatyńskim, i chcemy, aby od wyjścia naszego z tegoż Klasztoru Milatyńskiego przełożeni gminy Milatyna wraz z bractwem kościelnem największe staranie mieli na przekazane i z pobożności i cudów doznane poczynione Wota, by ich strzegli i przechowali w niepamiętne czasy, dla chwały Kościoła naszego i doznanych łask Zbawiciela, który w cudownym obrazie Milatyńskim jest na pocieszenie Ludu Naszego uroczyście objawianym.

Chcemy podobnież, aby nasi ulubieni i bogobojni parafianie Milatyńscy wszelkie nam przysługujące prawa, to jest: warzenia miodu, palenia wódki, warzenia piwa i do tychże potrzebne drzewo, nam na ten sposób z lasów skarbowych udzielane, z wyszczególnieniem tego, co dla miejscowego parocha do opału i kuchni będzie potrzebne — tak jak my używali, a to bez żadnej opłaty i czynszów.

Także grunta, łąki i pastwiska w osobnym przez Podstarościego ku temu zrobionym, a przez nas potwierdzonym wyciągu, dla dobra gminy Milatyńskiej całkowicie zostawujemy i do używania na wieczne czasy przekazujemy w takim rozciągu i obszerności, jak Konwent nasz dotąd używał, mieć chcemy, aby na przyszłość nikt nas z tej dobrowolnej woli nie kasował i aby nasza bogobojna gmina Milatyna, wyjąwszy trzech familii Izraela, która niedawnymi czasy osiadła w tej włości, — takowe grunta, łąki i pastwiska nienaruszenie i spokojnie po wieczne czasy używała.

Gdy takowa wola nasza za wiedzą i przyzwoleniem naszego byłego patrona i dziedzica Jaśnie Wielm. Król. Skarbnika pisemnie jest uskuteczniona, prosimy łaski Jego o potwierdzenie i zakomitowanie do Najjaśń. nam łaskawie pa-

nującego Monarchy, aby takowe prawo i wolę naszą dla dobra włościan Milatyńskich zaakceptować raczył, o którą to akceptacyę gmina Milatyńska ma się ubiegać i najusilniej starać.

Działo się w Klasztorze OO. Karmelitów bosych, dnia 11 czerwca 1785 R. P.

Jan Bonifacy Jerzek przeor mp.
Stanisław Łaski Cop. mp.
Cajetanus Słuczka mp.
Antoni Zajczek subsp. mp.

Approbatum est: Michał z Jastrzębiów Skorupka Król. Skarbnik i Dziedzic mp." [1]).

Józef II. oczywiście tej ostatniej woli OO. Karmelitów nie uwzględnił, bo dobra klasztoru, ba nawet każdy najdrobniejszy skrawek ziemi w Milatynie, sprzedany został na rzecz funduszu religijnego, a proboszczowie i gmina zostali wtrąceni w ostatnią nędzę materyalną. Bądź co bądź, przytoczony akt dowodzi, jak rozległymi przywilejami cieszył się Konwent OO. Karmelitów bosych w Milatynie za polskich czasów i jak hojne prestacye musiał składać na rzecz Konwentu dominium Milatyna starego.

Dalej byli Karmelici w Milatynie wyposażeni w piękny nowy klasztor zbudowany przez Teresę Łączyńską. Nie dorównywał on wprawdzie okazałością i strukturą dawniej w Polsce zbudowanym pomnikowym budowlom klasztornym, ale też w tej chwili chodziło fundatorce o to, by jak najprędzej umieścić zakonników w Milatynie, zostawiając im do woli podjęcie budowy okazałego gmachu klasztornego, który Karmelici istotnie postanowili zbudować, niestety rozbiór Polski, a niedługo potem kasata dzieło to uniemożliwiły.

Szczegółowy opis tego klasztoru przechował się do naszych czasów w urzędowym akcie [2]), który obejmuje 24

---

[1]) Cfr. liber memor. t. I. a. 1785.
[2]) Liber memor t. I. a. 1788.

strony in folio bitego pisma; ale napróżno siliłby się czytelnik, chcąc sobie stworzyć na jego szczegółach oparty, całokształt budowy. Tacy c. k. komisarze rządowi jak Wolsfeld, Franz Leopold Pauly e tutti quanti, opisując poszczególne klasztory skasowane, brali się do dzieła podobnie, jak miejscy handełesy skupujący stare rupiecie: o tyle coś ich interesuje, o ile rzecz przedstawia jakąś wartość materyalną, to też najskrzętniej wypełniali oni rubrykę „im guten oder schlechten Stand“. Panowie ci podobni są do tych dzisiejszych podatników po miasteczkach, zapisujący na rzecz licytacyi nie tylko to wszystko, co w domu dłużnika znajdują, ale nadto robią z nienacka kieszonkowe rewizye. Takie odniosłem wrażenia podczas kilkakrotnego studyum nad „Wirtschafts-Inventarium über das zu Milatin Zloczower Kreises eingezogene Karmelitten Kloster“, które sporządzili pp. Wolsfeld i Pauly. Na podstawie ich elaboratu, mógłbym podać szczegółowo, ile w tym klasztorze było zawias, krat żelaznych, zamków zwyczajnych lub francuskich, ile było pieców kaflowych, a ile zwyczajnych kamyczkowych, jakie były zawiasy przy oknach, a jakie przy drzwiach, jakie były rygle i klamki, z jakiego były materyału zrobione drzwi, okna, podłogi, na jedno pytanie trudno znaleźć odpowiedź: Jaki był rozkład domu?

(Ciag dalszy nastąpi).

Ks. Piotr Brukwicki.

KRONIKA.

Ze statystyki Zgromadzenia w krajach misyjnych. — (*Cf. Annales 1912, 2*). — Z końcem roku 1911 liczyło całe nasze Zgromadzenie 3.596 członków, mianowicie 25 biskupów (11 rządzących dyecezyami, 1 delegata apostolskiego, 11 wikaryuszów apostolskich, 2 spensyonowanych), 2.170 księży, 448 kleryków na studyach, 240 seminarzystów, 713 braci. Zgromadzenie dzieli się obecnie na 30 prowincyj, z których w Europie jest 15 (paryska, akwitańska, prowansalska, irlandzka, holendersko - belgijska, niemiecka, austryacka, polska, portugalska, madrycka, barcelońska, rzymska, turyńska, neapolitańska i konstantynopolitańska), w Azyi 5 (syryjska, perska, 2 chińskie i na Filipinach), w Afryce 1 (wikaryat południowego Madagaskaru), w Ameryce 9 (2 w Stanach Zjednoczonych, meksykańska, na Antyllach, w Ameryce Środkowej, brazylijska, argentyńska, ekwadorska i tak zwana prowincya nad Oceanem Spokojnym, w Chili, Peru i Boliwii). Trzy domy australskie należą do prowincyi irlandzkiej, dom w Aleksandryi do syryjskiej, a w Danii (Helsingör) do paryskiej.

Działalność misyjna Zgromadzenia rozciąga się na 9 wikaryatów apostolskich w Chinach, delegacyę apostolską w Persyi, misyjne posterunki w Syryi, Małej Azyi, Turcyi europejskiej, Grecyi, Rumunii, w Egipcie, misyę w Abisynii, wikaryat apostolski południowego Madagaskaru, a nadto dom w Danii (Helsingör). Razem tworzą te posterunki 6

prowincyj; pozostałych 24 jest w krajach mających stałą hierarchię kościelną.

Ogólne dane statystyczne z działalności Zgromadzenia w krajach misyjnych z końcem roku 1911 są następujące: Pod kierunkiem 12 biskupów pracowało 390 Księży Misyonarzy oraz 260 świeckich kapłanów europejskich lub krajowców, nadto 79 OO. Trapistów, 195 Braci różnych Zgromadzeń, 4.155 katechistów, 1,143 Sióstr Miłosierdzia i 400 zakonnic krajowych. Seminaryów duchownych było 23 z 756 alumnami, kościołów lub kaplic 2.380, szkół 1.802 z 57.026 uczniami, kolegiów 68 z 3.963 wychowankami, warsztatów lub pracowni 72, w których zajęcie miało 2.532 młodzieży, zakładów sierocych 94 z 6.571 sierotami, szpitali lub przytułków 98, 2 schroniska dla 424 trędowatych, 76 ambulatoryów, w których dano opatrunki lub pomoc 1,580.509 osobom. Katolików w naszych misyach było ogółem 355 373, z czego w samych Chinach 345.873, a nadto 65.124 katechumenów dosyć dobrze przygotowanych. W roku 1911 było nawróceń heretyków 676, pogan 36.920, chrztów in articulo mortis 57 959. Katechumenatów było 2.364, a w nich w roku 1911 katechumenów 45.984.

1. W Chinach samych przedstawiają się wyniki przeszłorocznej pracy i stan posiadania w naszych wikaryatach w sposób następujący:

1. Prokura w Szangaju i dwa domy wychowawcze w Kiaszing i Szala (pod Pekinem):

Księży Misyonarzy 11,
Seminarya 2,
Kleryków na studyach i w seminaryum 36,
Braci 9,
SS. Miłosierdzia 54,
Nawróceń pogan 184,
Chrztów *in articulo mortis* 331,
Kościołów lub kaplic 6,
Szpitali lub przytułków 5,
Ambulatoryów 3, z których korzystało 118,148 osób.

2) Wikaryat północnego Czeli (ks. bisk. Jarlin rezydujący w Pekinie).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 39,
Księży świeckich krajow. 43,
Seminarya duchowne 2,
Alumnów 167,
Braci 48,
OO. Trapistów 79,
Katechistów 2038,
SS. Miłosierdzia 52,
Zakonnic krajowych 79,
Nawróceń heretyków 65,
„ pogan 20398,
Chrztów *in articulo mortis* 6879,
Katechumenów 28,065,
Katechumenatów 1577,
Kościołów lub kaplic 522,
Szkół 353 (uczniów 7960),
Kolegiów 12 (uczniów 593),
Seminaryów nauczycielskich 18 (uczniów 554),
Szpitali i przytulisk 5,
Sierocińców 7 (sierót 611),
Warsztatów i pracowni 6 (młodzieży 253)
Ambulatoryów 5 (z których korzystało 242,809 osób).
Ludności katolickiej ogółem 111,367,
Katechumenów dobrze przygotowanych 18,521.

(Na tym obszarze jest około 10,000 heretyków, a pogan około 6.300,000).

3) Wikaryat apostolski środkowego Czeli (ks. biskup Fabrègues, rezydujący w Paotingfu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 17,
Księży świeckich krajow. 23,
Seminarya 2,
Alumnów 77,
Braci 3,
Katechistów 579,
Zakonnic krajowych 46,
Nawróceń pogan 1848,
Chrztów *in articulo mortis* 4383,
Katechumenów 2908,
Katechumenatów 207,
Kościołów lub kaplic 324,
Szkół 372 (6841 uczniów).
Kolegiów 2 (103 wychowanków),
Seminaryów nauczycielskich 4 (62 uczniów),
Sierociniec 1 (47 sierót),
Ludności katolickiej 73,661,
Katechumenów dobrze przygotowanych 10,000.

(Heretyków około 1000, pogan około 3.000,000).

4) Wikaryat apostolski zachodniego Czeli (ks. bisk. Coqset, rezydujący w Czeng tingfu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 29,
Księży krajowców 13,
Seminarya 2,
Alumnów 123,
Braci 36,
Katechistów 280,
SS. Miłosierdzia 17,
Zakonnic krajowych 80,
Nawróceń pogan 2874,
Chrztów *in articulo mortis* 30,544,
Katechumenów 2833,
Katechumenatów 136,
Kościołów lub kaplic 516,
Szkół 148 (2611 uczniów),
Kolegiów 7 (243 wychowanków),
Sierocińców 4 (717 sierót),
Pracowni 4 (190 młodzieży),
Szpitali i przytulisk 6,
Ambulatoryów 3 (34965 osób,
Ludności katolickiej 60,210,
Katechumenów dobrze przygotowanych 4382.

(Pogan około 8 000,000).

5) Wikaryat apostolski wschodniego Czeli (ks. bisk. Geurts, rezydujący w Jungpingfu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 10,
Ksiądz krajowiec 1,
Seminaryum 1,
Alumnów 22,
Brat 1,
Katechistów 196,
Zakonnic krajowych 18,
Nawróceń heretyków 107,
Nawróceń pogan 1770,
Chrztów *in articulo mort.* 1310,
Katechumenów 1792,
Katechumenatów 159,
Kościołów lub kaplic 33,
Szkół 52 (uczniów 723),
Seminaryum nauczycielskie 1 (uczniów 10),
Sierocińców 3 (sierót 50),
Ludności katolickiej 10,889,
Katechumenów dobrze przygotowanych 1000,

(Ludności pogańskiej około 5.000,000, heretyków 3,500).

6) Wikaryat apostolski wschodniego Czekiangu (ks. bisk. Reynaud, rezydujący w Ningpo).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 21,
Księży krajowców 13,
Seminarya 3,

Alumnów 36,
Braci 3,
Katechistów 201,
SS. Miłosierdzia 26,
Zakonnic krajowych 54,
Nawróceń heretyków 64,
Nawróceń pogan 1447,
Chrztów *in articulo mortis* 3697,
Katechumenów 1052,
Katechumenatów 17,
Kościołów lub kaplic 216,
Szkół 77 (uczniów 2577).
Kolegiów 2 (wychowan. 49),
Szpitali lub przytułków 9,
Sierocińców 20 (sierót 678),
Pracowni 20 (młodzieży 684),
Ambulatoryów 6 (109, 458 osób),
Ludności katolickiej 20,061,
Katechumenów dobrze przygotowanych 3109,

(Heretyków około 12000, pogan 11.000,000).

7) Wikaryat apostolski zachodniego Czekiangu (ks. bisk. Faveau, rezydujący w Hangczeu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 17,
Lsięży krajowcow 9,
Seminaryum 1,
Alumnów 18,
Katechistow 112,
SS. Miłosierdzia 16,
Zakonnic krajowych 6,
Nawróceń heretyków 2,
Nawróceń pogan 665,
Chrztów *in articulo mortis* 1272,
Katechumenów 154,
Katechumenatów 8,
Kościołów lub kaplic 161,
Szkół 37 (uczniów 889),
Szpitali lub przytułków 8,
Sierocińców 6 (sierót 419),
Pracowni 8 (młodzieży 233)
Ambulatoryów 5 (66,297),
Ludności katolickiej ogółem, 11152,
Katechumenów dobrze przygotowanych 1825,

(Heretyków około 5000. Pogan około 9.000,000).

8) Wikaryat apostolski północnego Kiangsi (Ks. bisk. Fatiguet, rezydujący w Kiukiang)

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 23,
Księży krajowców 3,
Seminarya 2,
Alumnów 52,
Katechistów 342,
SS. Miłosierdzia 18,
Zakonnic krajowych 15,

Nawróceń heretyków 9,
Nawróceń pogan 4415,
Chrztów *in articulo mortis* 3264,
Katechumenów 5906,
Katechumenatów 144,
Kościółów lub kaplic 134,
Szkół 155 (uczniów 4687),
Kolegium 1 (wychowank. 11),
Szpitali i przytułków 4,
Sierocińców 4 (sierót 389),
Pracowni 5 (młodzieży 339),
Ambulatoryów 3 (78,616 osób)
Ludności katolickiej ogółem 20,626,
Katechumenów dobrze przygotowanych 18,872,

(Ludności pogańskiej około 12.000,000).

9) Wikaryat apostolski wschodniego Kiangsi (wik. ap. był świeżo zmarły ks. bisk. Vic, w Fuczeu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 25,
Księży krajowców 8,
Seminaryów 2,
Alumnów 52,
Katechistów 246,
SS. Miłosierdzia 6,
Zakonnic krajowych 24,
Nawróceń heretyków 23,
Nawróceń pogan 1599,
Chrztów *in articulo mortis* 1680,
Katechumenów 1859,
Katechumenatów 79,
Kościołów lub kaplic 195,
Szkół 104 (uczniów 3539),
Kolegiów 3 (wychowan. 61),
Seminaryów nauczycielskich 7 (uczniów 92),
Szpitali lub przytułków 25,
Sierocińców 16 (sierót 472),
Pracowni 14 (młodzieży 387),
Ambulatoryów 2 (osób 56,377),
Schronisko dla trędowatych 1 (chorych 24),
Ludności katolickiej ogółem 21,959.
Katechumenów dobrze przygotowanych 3462,

(Ludności pogańskiej około 8,000000).

10) Wikaryat apostolski południowego Kiangsi (ks. bisk. Ciceri, rezydujący w Ningangfu).

Biskup Misyonarz 1,
Księży Misyonarzy 17,
Księży krajowców 11,
Seminaryów 2,
Alumnów 49,
Katechistów 118,

SS. Miłosierdzia 11,
Zakonnic krajowych 31,
Nawróceń heretyków 9,
Nawróceń pogan 1420,
Chrztów *in articulo mortis* 2460,
Katechumenów 1415,
Katechumenatów 55,
Kościołów lub kaplic 92,
Szkół 62 (uczniów 1706),
Szpitali i przytulisk 5,
Sierocińców 8 (sierót 422),
Pracowni 14 (osób 346),
Ambulatoryów 3 (os. 41,529),
Ludności katolickiej ogółem 12,838,
Katechumenów dobrze przygotowanych 3953.

(Ludności pogańskiej około 10.000,000).

2. W Persyi przedstawia się praca zeszłoroczna w ten sposób:

Delegat apostolski ks. arcybisk. Jakób Sontag,
Biskupów chaldejskich 2,
Księży Misyonarzy 22,
Księży krajowców 52,
Seminarya 2,
Alumnów 40,
Brat 1,
SS. Miłosierdzia 38,
Nawróceń heretyków 23,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 231,
Kościołów lub kaplic 63,
Szkół 65 (uczniów 2150),
Kolegiów 3 (wychowanków 580),
Szpitali lub przytulisk 3,
Sierocińców 5 (sierót 90),
Ambulatoryów 5 (osób 56,363).

3. W Syryi i Palestynie było w r. 1911:

Księży Misyonarzy 52,
Księży krajowców 26,
Seminarya 1,
Alumnów 25,
Braci 16,
SS. Miłosierdzia 252,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 200,
Kościołów lub kaplic 29,
Szkół 200 (uczniów 13675),
Kolegia 2 (wychowanków 600),
Szkoła wyższa żeńska 1 (45 uczenic),
Szpitali przytulisk 8,
Sierocińców 10 (sierót 896),
Ambulatoryów 12 (osób 94,671).

4. W Małej Azyi było w r. 1911:

Księży Misyonarzy 18,
Księży krajowców 3,
Braci 3,
SS. Miłosierdzia 128,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 192,
Kościołów i kaplic 10,
Szkół 8 (uczniów 1935),
Kolegium 1 (180 wychowanków),
Szpitale 2,
Sierocińce 4 (sierót 400),
Ambulatorya 3 (59,360 osób).

5. W Grecyi i Rumunii było w r. 1911:

Księży Misyonarzy 57,
Księży krajowych 7 (oraz unickich 36),
Seminarya 2,
Alumnów 70,
Braci różnych Zgromadz. 66,
Katechistów 3,
SS. Miłosierdzia 350,
SS. Eucharystynek 32,
Nawróceń heretyków 253,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 296,
Kościołów lub kaplic 48,
Szkół 46 (uczniów 4803),
Kolegiów 4 (wychowan. 780),
Szpitali i przytulisk 13,
Sierocinców 12 (sierót 809),
Ambulator. 11 (os. 309457).

6. W Egipcie (dom Zgromadzenia w Aleksandryi) było w roku 1911:

Księży Misyonarzy 7,
Brat 1,
SS. Miłosierdzia 151,
Nawróceń heretyków 4,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 870,
Kościołów i kaplic 11,
Szkół 7 (uczniów 2160)
Szpitali i przytułków 4,
Sierocińców 6 (sierót 528),
Ambulatoryów 5 (osób 291,209),

7. W Abisynii było w roku 1911:

Księży Misyonarzy 5,
Księży krajowców 12,
Seminaryum 1,
Alumnów 25,
Braci 2,
Katechistów 10,
Zakonnic krajowych 15,
Nawróceń heretyków 100,

Chrztów dzieci *in articulo mortis* 15,
Kościołów i kaplic 5,
Szkół 7 (uczniów 170,
Ambulatorya 2 (osób 6500),
Ludności katolickiej ogółem 1500.

8. W wikaryacie apostolskim południowego Madagaskaru przedstawia się praca misyjna z końcem r. 1911 w sposób następujący:

Biskupów Misyonarzy 2 (ks. bisk. Crouzet i ks. bisk. Lasne),
Księży Misyonarzy 18,
Braci 4,
Katechistów 30,
SS. Miłosierdzia 19,
Nawróceń pogan 300,
Chrztów dzieci *in articulo mortis* 275,
Kościołów i kaplic 14,
Szkół 8 (uczniów 550),
Szpital 1,
Schronisko dla trędowatych 1 (chorych 400),
Zakład sierocy 1 (44 sierót),
Pracownia 1 (młodz. 100),
Ludności katolickiej 8000 (pogańsk. około 500000).

9. W Helsingör w Danii było z końcem r. 1911:

Księży Misyonarzy 2,
Braci 2,
SS. Miłosierdzia 5,
Szkoła 1 (50 uczniów)
Kościół 1,
Katolików 110 (na ogólną liczbę 12,000 mieszkańców).

Wikaryat apostolski wschodniego Czekiangu. — *Głód w prefekturze apostolskiej Szaoszing.*

Prefektura ta obejmuje na północy obszerną, żyzną i bogatą równinę nadmorską, na południu wspaniałe góry. Od morza zabezpiecza tę równinę potężny wał ochronny, ciągnący się na 300 kilometrowej przestrzeni od Ningpo do Hangczeu. W niektórych miejscach cofnęło się morze, zostawiając znaczną przestrzeń urodzajnej roli nadbrzeżnej, którą Chińczycy skwapliwie zaczęli uprawiać. Niejednokrotnie

wszakże wraca morze nietylko szerząc spustoszenie na samym brzegu, ale przerywając także wał ochronny. W bieżącym roku zalew ten spowodowany tajfunami czyli strasznemi trąbami morskiemi, a spotęgowany wylewem rzek nadbrzeżnych takie zrobił spustoszenie, że przeszło milion ludności wpadło w klęskę głodową. Tłómaczy się to tem, że większość mieszkańców oddaje się tutaj uprawie roli, wszystkie zaś zbiory uniosły z sobą fale. Handel zaś sparaliżowała rewolucya zaczęta jesienią zeszłego roku, a tryumfująca dziś po ogłoszeniu rzeczypospolitej chińskiej. Wszystko to opisuje ks. bisk. Reynaud w czasopisemku *Le petit Messager de Ning-po*, z 1 maja b. r. — Podajemy tu treść tego opisu.

Stolicę wikaryatu, Ningpo opanowali rewolucyoniści 5 listopada 1911 r. Przy napadzie ich wielki przestrach ogarnął ludnością miasta i całej okolicy. Mieszkańcy wszyscy z blizka i z daleka wysyłali stosami paki z ruchomościami, a zwłaszcza kosztownościami do Misyonarzy. Ks. Biskup Reynaud wraz z swymi Misyonarzami, księżmi Buch, Seung, Wittib, Ibarruthy i Ferrando, oraz z SS. Miłosierdzia i z zakonnicami chińskiemi, zaopiekowali się troskliwie tak ludnością, bez względu na jej religię, jak i majątkiem. W misyjnej szkole schroniło się około 300 młodych Chinek, tuląc się pod opiekę zakonnic. Niebezpieczeństwo grożące ze strony rewolucyi minęło szybko, gdyż miasto poddało się bez wystrzału. W całym wogóle wikaryacie prócz kilkudziesięciu rannych nie było większych strat w ludziach. Misya zaś w całym wikaryacie nie ucierpiała wcale, partya przewrotu, zwana Kemintang, zapewniła Misyonarzom i chrześcijanom wszelkie bezpieczeństwo. Za to głód dał się dotkliwie odczuć zwłaszcza w okolicy Szaoszing, gdzie pracują dwaj Misyonarze, ks. Piotr Louat i ks. Klodwig Delafosse, wraz z dwu świeckimi księżmi chińskimi. Ks. Biskup Reynaud zwiedził w czasie postu tegorocznego całą tę okolicę i opisuje w swych listach, że przeszło milion ludności na przestrzeni jego wikaryatu znajduje się w najopłakańszej nędzy.

Następującej osnowy jest jego list z dnia 9 kwietnia 1912 roku, opisujący głód w jednej tylko miejscowości Szaoszing.

„Jakże smutnie przeżyliśmy w tym roku Wielki tydzień i święta Wielkanocne! Codziennie oblegali nas zgłodniali; trudno mi opisać rozdzierające sceny, jakie się odbywały w naszych oczach. Kamienne serce chyba wzruszyłoby się na ten widok. Niedostatek czyni nas wprawdzie na zewnątrz pozornie nieprzystępnymi, mimo to lud ten biegnie do nas sam instynktownie, gdyż wszędzie go odpychają, a u nas dostrzega litość i spodziewa się pomocy. Z dniem każdym napływał tłum coraz liczniejszy, cisnąc się bezładnie ze łzami w oczach i z błaganiem o zlitowanie na ustach. Drzwi nasze były zamknięte, ale to ich nie odstraszało. Stał i czekał wytrwale, bez skargi i wyrzekania, pomimo żaru słonecznego czy niepogody. Napływ ten zaczął się nazajutrz po naszem przybyciu do Szaoszing. W Wielką środę rozdał ks. Louat zapomogę 1000 zgłodniałych, przeznaczając po pół funta ryżu na dwa dni na osobę. W Wielki czwartek tłum wzrósł do 10,000, w Wielką sobotę nawet do 15,000. Odkąd otwarto podwoje naszego domu, napór ludzi był niepowstrzymany — zapełniono wszystkie obszerne ogrody i podworce misyjne. Najwięcej uderzało mnie, gdym przechodził przez te tłumy ginących z głodu, ich cierpliwość i potulność; prosili tylko i płakali. Nikt nie narzekał, owszem z zaufaniem spoglądali na nas. Straszny widok nędzy roztaczał się wokoło. Tu biedne kobiety leżą na ziemi, nie mogąc powstać; tam matki schylają się nad swymi malcami, żeby ich uchronić przed deszczem, ówdzie chwiejący sie od wieku starcy w milczeniu, niemal bez pamięci; tam znów nieszczęśliwi połykają trociny, by oszukać głód itp. Wielu nawet nie zdołało wejść na dziedziniec; oparci o mur lub leżąc na ziemi, niemal konali — trzeba im było spieszyć natychmiast na pomoc. W poniedziałek wielkanocny już prawie niemożliwą było rzeczą rozdawać zapomogi. Już przed wschodem słońca przybyło 400 łodzi z ludnością z wiosek okolicznych i zapełnili pły-

nące naokół kanały, a równocześnie tysiące innych zgłodniałych gromadziły się obok naszej rezydencyi. Około 10 godziny wpuściliśmy około 5 do 6 tysięcy kobiet i dzieci na dziedziniec, by im rozdać żywność. O 2 godzinie zaś po południu otwarto bramy na oścież i nie zamknięto ich już do późna w noc. Fala ludności płynęła wciąż i zapełniła szczelnie wszystkie dziedzińce, a jeszcze inni stali na ulicy. Mieliśmy przed sobą 40 do 50 tysięcy nieszczęśliwych. Z trudnością przeciskaliśmy się wśród tłumów, zachęcając do cierpliwości i zapewniając, że nikt nie odejdzie do domu bez ryżu. Nie mogliśmy jednak dotrzymać obietnicy, bo ryżu już nie starczyło. Jakże więc zaradzić? Jakiś żołnierz wyciągnął z koszyka ks. Józefa Ing kilka kwitów na porcye ryżu, kilku innych wyciągało ręce, by zrobić to samo. Skorzystaliśmy z tego, by zawiesić rozdawanie pomocy, niemożliwej skądinąd dla braku ryżu. „Skradziono kwity na ryż!“ — zawołaliśmy. Na ten okrzyk zaczęli się wszyscy powoli oddalać. Ale z jakże ciężkiem sercem patrzeliśmy na tych biedaków, którzy przybyli z daleka i przez cały dzień napróżno czekali na garść ryżu dla swych zgłodniałych rodzin. W mieście i po wioskach mówiono tylko o jałmużnach, rozdawanych w misyi katolickiej. Chwaliły nas gazety miejscowe, które szyderczo domagały się od bogatych i od mandarznów, żeby poszli za naszym przykładem. Pod grozą opinii publicznej zebrali się oni i radzili nad tem, jakby przyjść głodnym z pomocą. Ale w końcu oświadczyli, że niema ratunku, i przyszli domagać się pomocy od Misyonarzy, obowiązując się przyczynić do tego ze swej strony. Przyrzekli dać 60 tysięcy piastrów (150,000 franków) i prosili o miesiąc czasu dla zbadania sprawy. A tu tymczasem przez miesiąc tysiące z głodu będą ginąć. Tak to u nas samych znajdują te tysiączne ofiary klęski głodowej jedyną nadzieję ratunku. Ocalenie całej nieprzejrzanej krainy zależy od naszego miłosierdzia. A naszemu miłosierdziu brak wszelkich środków“!

W liście zaś z dnia 28 kwietnia 1912 roku pisze ks. Biskup Reynaud:

„Zgłodniali wciąż napływają do misyi. Nie rozdajemy już kwitów na miejscu, tylko zapisujemy nazwiska osób i miejsce ich zamieszkania. Następnie Misyonarze i katechiści udają się na miejsce, by zbadać naocznie prawdziwe ich położenie. Wracają oni z sercem rozdartem z powodu tego, co widzieli. Całe domy pogrążone w ostatecznej nędzy, całe rodziny od wielu dni nie miały nic w ustach — w domach nie widać ani krzeseł, ani stołów, ani łóżek — wszyscy śpią na workach rozciągniętych na ziemi. Takie rodziny zapisuje się na liście stale wspieranych. Co pięć dni otrzymują funt ryżu. To prawie nic, a jednak wiecej dać nie można, gdyż w samem mieście Szaoszing wspierać musimy już więcej niż tysiąc rodzin pogańskich, nie licząc 500 rodzin katechumenów. Dla ułatwienia sprawy podzieliliśmy sobie miasto na dzielnice. Nie zapominamy też o zgłodniałych poza miastem. Zewsząd wołają o pomoc, ale niejednokrotnie zapóźno przychodzimy. Wraz z garścią ryżu podajemy katechumenom posiłek duchowny. Cztery razy w tygodniu przychodzą katechumeni na naukę, mężczyźni we wtorki i czwartki, niewiasty w środy i piątki; a po nauce otrzymują skromny posiłek. Dzieci ich zapełniają nasze szkoły, które musieliśmy rozszerzyć. Niczego nie szczędzimy, by ratować dusze wraz z ciałem. Setki drobnych szkieletów przybywa okrytych łachmanami i robactwem. Kosztem 2 franków przyprowadzamy ich do lepszego wyglądu. Dzieciaki wnet odzyskują wesołość i czerstwość. Na rekracyach bawią się w żołnierzy — starają się spotkać z nami, by nas pozdrawiać po żołniersku lub czynić znak krzyża św. Pociecha to dla nas, lecz nic to nie zagłusza bolesnych jęków i wołania o pomoc tysięcy innych cierpiących. Iluż z nich nadarmo co noc puka do bram naszego domu! Nieśmiałe i ciche ich stukanie zdradza ich obecność. Spieszymy im też natychmiast z pomocą. Z dalszych okolic zaś katechiści donoszą o nędzy tamtejszej. Od dwóch miesięcy rozdają tam trzy razy na miesiąc po 20 sapeków (czyli 5 halerzy) na osobę dorosłą, a 10 na dziecko. Albo też dają trzy razy na miesiąc

po garści zboża na osobę. To starczyłoby zaledwie na wyżywienie kurczęcia, a zadowolnić się tem musi człowiek na 10 dni. To też zgłodniali biedacy dodają do tego zielska, korzonki, korę z drzew. — Mam przed sobą na stole cały stos okazów tego rodzaju pożywienia. Mielą to wszystko na mąkę, robią z tego zacierkę lub placki i tak oszukują głód. Skutkiem tego jest często ból żołądka, wymioty — oraz wywiązują się różne choroby. Wystarczyłoby 5 franków na ratowanie jednego zgłodniałego. Oby jak najprędzej nadszedł piękny maj ze swem szczęściem i błogosławieństwem Maryi!

Pekin. — *Ks. Biskup Jarlin u Juanszikaja.*

La Croix w numerze z 7 kwietnia pisze: „Biskup Pekinu wraz z swym wikaryuszem generalnym i sekretarzem był na audencyi u Juanszikaja. Prezydent rzeczypospolitej przyjął ich nadzwyczaj uprzejmie. Wypytywał się z wielkiem zainteresowaniem o stan misyj katolickich, o liczby wyznawców i oświadczył, że nowy rząd będzie się starał zabezpieczyć najzupełniejszą swobodę religijną, oraz, że wszelkie urzędy tak cywilne jak i wojskowe dostępne będą dla wszystkich bez względu na wyznanie. To tak przychylne dla katolików usposobienie nowego rządu chińskiego każe nam wróżyć jak najpomyślniejszą przyszłość dla religii katolickiej w tym kraju.

Z PROWINCYJ POLSKICH.

Ameryka północna.

Derby. — *Z listu ks. Sup. Waszko do Przew. ks. Wizytatora, z dnia 16-go maja bież. roku.*

„Wczoraj kupiono dom tak bardzo potrzebny, by księża wygodnie mogli mieszkać i by plebania była rzeczywiście na ładnem miejscu. Ks. Wizytator przypomina może sobie po lewej stronie kościoła dom drewniany z przodu. Rok temu zakupiło się tylną część property za 3.150 dolarów. — Kobieta jednak drugiej, a ważniejszej części sprzedać nie chciała. O tem już myśleliśmy dawno, ale dać 5.000

dolarów za starą ruderę i kawałek ziemi (71 × 55) to i w humbugierskiej Ameryce za wiele. Ale Pan Jezus dobry po kłopotach przeszłych pocieszył niespodziewanie. Kiedy rzeczywiście nadziei nie było, zaryzykowaliśmy 4.000 dolarów w ofercie zrobionej przez trzecią osobę i szturm w maju przypuszczono do Najświętszej Panny Maryi przez dusze w czyśceu i św. Stanisława; a prywatnie prosiliśmy Pana Jeznsa, żeby zechciał ostatecznie załatwić interes, który długo się ciągnie. Przyznam się jednak Księdzu Wizytatorowi, że jeżeliby Pan Jezus niekontent miał być z kupna, nie chcę i ja. Radzono mi użyć podstępu, fortelu, blagi, no i z początku mi się to uśmiechało, ale św. Wincenty się przypomniał i powiedziałem temu, który mi radził, że się rozmyśliłem, bo to nie zgadzałoby się z prawdą.

Jestem pewny, że i to się przyczyniło do pomyślnego skutku. Małe rzeczy u Pana Boga nie są małemi, jak się ma na myśli sprawiedliwość. Ostatecznie kobieta innej dostała myśli, załatwiło się kupno za 4.084 dolary. Byłem w banku tego samego dnia i znawca powiedział, że tanio-śmy dostali. Wartość ma 4,500 dolarów, a dla kościoła, któremu to potrzebne, jeszcze większą przedstawia cenę. Plan plebanii wyrysowałem — może Ks. Wizytator coś zrozumie z tego; niby wedle planu kreśliłem, ale mnie samemu ciężko się połapać.

Plebania będzie gotowa, jak Ksiądz Wizytator przyjedzie. Z cegły ma być, ale pojedyńcze cegły są przymocowane stalowymi haczykami do belek, w ten sposób w zimie niema wilgoci, a w lecie chłodniej. Bogacze tak stawiają swoje wille. Kosztorys 9.300 dolarów. Spodziewam się, że Ks. Wizytator będzie zadowolony. Księża Misyonarze będą mieli najpiękniejszą placówkę, pokojów około 15; naturalnie jeden będzie obrócony na kaplicę. Wewnątrz ściśle wedle Reguł. Będzie wszystko, ale skromne.

Zaprowadziliśmy Bractwo dobrej śmierci, St. Mariae in Monterone dla dusz w czyśću i Sodalicyę Maryańską. Spowiedzi mamy zawsze dosyć, Komunii św. już 4.200, bę-

dzie więcej niż zeszłego roku. Z ludzi jedni do Boga, a drudzy w inną stronę ciągną. Najwięcej mnie smuci pijaństwo, klątwy i złe gazety, a za niemi niewiara. Niewiadomo, jak to Pan Jezus sądzić będzie; boję się, czy wszystkich środków używam dla zbawienia tych ludzi. — Proszę o modlitwę, żebym tak postępował w przybliżeniu, jak św. Wincenty na tych 2 parafiach, jakiemi zawiadywał".

New-Haven. — *Z listu ks. Sup. Mazurkiewicza do Przew. ks. Wizytatora, z dnia 1-go maja bież. roku.*

„Kościół nasz się buduje, jeżeli powietrze dopisze 19-go maja będzie gotowy basement i podłoga położona. Tegoż dnia ks. Biskup Milan poświęci kamień węgielny. Na razie wszystko idzie dość dobrze. Kupca na kościół jeszcze nie mam. Biskup obiecał mi, że Litwinom poleci nasz kościół, jeżeli my z pierwotnej sumy 32 tysiące coś opuścimy. Ksiądz litewski Szatkus był u mnie, obejrzał wszystko od *a* — *z* i podobało mu się wszystko, prócz ceny. Między Litwinami niema zgody. Wczoraj dowiedziałem się, że podobno Biskup namawiał Litwinów do kupienia naszego kościoła, lecz jeszcze u mnie nie byli. Zresztą nie bardzo się spieszę ze sprzedażą, bo nie wiem, czy na thansgioingday, to jest 30-go listopada kościół skończą. Kontraktor zaręcza, że na ten dzień wszystko będzie gotowe. Ławki dębowe zamówiłem za 3.225 dolarów. Podpisałem także kontrakt na ogrzewanie w sumie 1.900 dolarów. Trzeba jeszcze pomyśleć o oświetleniu kościoła, które taksuję na jakie 800 dolarów, i o balustradzie w presbiteryum, w sumie 500 dolarów. Jeżeli kościoła na czas nie sprzedam, przeniosę ołtarz, ambonę i wszystko, co się tylko da, do nowego kościoła. Dzwony i boczne ołtarze, konfesyonały i t. d. kupię później, gdy będzie pieniądz. Ludzie dość chętnie na kościół dają, zbieram teraz po 5 dolarów na kamień węgielny. W tę niedzielę urządzają nasze Dzieci Maryi teatr na dochód kościoła, później i szkoła coś w tym celu urządzi.

Ks. Słupiński dzielnie pracuje, kaznodzieja z niego popularny. Powierzyłem mu młodzieńców i zebrał ich około 20-

Uczy ich grać na instrumentach, urządza odczyty i obchody patryotyczne. Sprawiliśmy też elektryczną lampę połączoną z radyoskopem, która wszelkie obrazki w nią wstawione powiększa na 14 stóp i rzuca na ekran. Jeżeli całą sprawę wypróbujemy dobrze, urządzać będziemy dla młodzieży wykłady z historyi polskiej, biblijnej, naturalnej i t. p. Hala nasza polska już ukończona, poświęcać ją będziemy zdaje się w maju. Sala w niej wielka, scena względnie mała, ale nasi wiarusy mówią, że „starcy, bo wsyscy na nią nie wleziem; jak jeden powie swoje, to wyjdzie, a drugi psyjdzie". Hala oddalona 5 minut od nowego kościoła.

Wichrzą w naszej parafii Sokoli i psują naszą młodzież bardzo. Wielu między nimi socyalistów i niedowiarków. Kupili sobie starą kuźnię i przerobili na sokolnię. 30-go maja będą mieć zlot wielki w New-Haven, prosili mnie o nabożeństwo w kościele, ale odmówiłem im, bo już przy podobnej okazyi wprowadzili do kościoła towarzystwo niezależne, z czego było zgorszenie w parafii".

Ameryka południowa.

Guarany-mirim *(St. Catharina). — Z listu ks. Górala do Przew. Wizytatora, datowanego 2-go kwietnia bież roku podajemy następujące szczegóły*:

„Obecnie przygotowuję przez post wielki dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św. — Aniby Ks. Wizytator nie przypuszczał, że w styczniu byłem już po raz drugi we Florianopolis. Ks. Biskup zapowiedział na 16-go stycznia kongres dla tutejszych księży, aby na nim omówić ważniejsze sprawy, zwłaszcza kwestyę modernizmu. Przed kongresem odprawiali księża rekolekcye. Długo się namyślałem, czy jechać lub nie, bo taka podróż pociąga za sobą znaczne koszta. Przecież ważne powody miałem, żeby się do ks. Biskupa udać; i tak chciałem ustnie załatwić sprawę Badensów, aby do Blumenau należeli; chciałem tamtejszej

kolonii polskiej udzielić rekolekcyi, jak sobie tego ks. Biskup we wrześniu życzył; w dodatku pisał mi ks. sekretarz biskupi: „Sie müssen auch kommen“. Więc się wybrałem. Głosiłem rekolekcye Polakom tamtejszym, ale oni już zupełnie zobojętnieli, z małymi wyjątkami; zdaje mi się, że te nauki niewielki odniosły pożytek; niewielu było u spowiedzi i Komunii św. Ks. Biskup bardzo był zadowolony z mego przyjazdu na kongres, wyznaczył kościół na nauki dla Polaków i dopytywał się, ilu ich chodzi na rekolekcye. Niemcy w Itapirim (Badensi) mają do nas należeć, gdyż tu decyduje przedewszystkiem odległość: do nas mają 18—20 klm., a do Blumenau (przez Massarandubę) około 70 klm. Ale obecnie sprawa ta znów wzięła inny obrót.

Niemcom tutejszym głosimy od czasu do czasu (raz na 2—3 miesiące) kazanie po niemiecku, żeby uniknąć szemrań. Są też z nas bardzo zadowoleni; płacą pensye na utrzymanie i budowę budynków na równi z Polakami po 15 milr. Nie mówią, jak Badensi, że nie umiemy po niemiecku. Niemcy przy kaplicy w Braço do Norte także proszą o niemieckie kazania, dotychczas nie mówiliśmy ich, ale już im obiecałem.

Ks. Zygmunt przeszło miesiąc bawił na zwiedzaniu osad polskich koło Rio Vermelho, słuchał spowiedzi wielkanocnych. Z tej ekskursyi jest zadowolony. Księża niemieccy (z S. Bento i Jaragua) z trudnością na to pozwolili; musiałem się powoływać na życzenie ks. Biskupa i pozwolenie (dekret) Ojca św. Ale zdaje się, że najgorszy był początek, bali się nas, na następny raz już przeszkód stawiać nie będą.

W poście wielkim zamierzałem pierwotnie misye urządzić, ale napotkałem na liczne przeszkody:

1) Dom niewykończony, trudno księży pomieścić; 2) dojazd do stacyi Bananal, przez pikadę (ścieżkę) fatalny; 3) stosunki finansowe domu naszego nieświetne, choć już lepsze; 4) byłem w styczniu we Floryanopolis, a w lutym w Rio Vermelho, nie miałem czasu na zrobienie przygoto-

wań odpowiednich; 5) misye, jakie nasi księża odprawiać mieli w Paranie (w Orleans i Prudentopolis).

Z drugiej strony za odroczeniem misyi na rok lub dwa przemawiają:

1) Droga ze stacyi kolejowej jest w projekcie i już przez rząd potwierdzona, byłem nawet w tej sprawie we Florianopolis (w styczniu) u rządu, może jeszcze w tym roku będzie zrobiona; 2) kolej za rok ma być przez Rio Vermelho, Rio Negro, Kurytybę otwarta, więc dojazd łatwy, nieznaczne koszta podróży; 3) może i kościół w Rio Vermelho ukończą, i tam chciałbym choć małą misyę dla ludu urządzić, a obecnie w starym kościółku lud się nie zmieści (zwłaszcza w czasie słoty coby było?). — Oto powody i przeszkody, które misyę tutejszą odraczają.

Prawie cały post byłem sam w Guarany; rozłożyłem sobie pracę w ten sposób, że co niedzielę i święto miałem dwa kazania: rano o warunkach Sakramentu pokuty, o spowiedzi generalnej, po południu na Gorzkich żalach o Męce Pańskiej w stosunku do ludzi. — Skutki wielkie były z tych nauk i bardzo dla mnie pocieszające, bo ludzie odprawiali spowiedzi generalne bardzo licznie. Mówili, że tego jeszcze nie słyszeli, ani takich nauk... Jak się widzi pożytek duchowny wśród ludu, to zapomina się o upałach, choć się z człowieka leje pot, jak krople deszczu. W poście przygotowałem dzieci do pierwszej Komunii św. Wczoraj, w niedzielę przewodnią, bardzo uroczyście ją urządziłem wśród licznych przemów w języku polskim i niemieckim; lud był wzruszony. Dzieci wszystkich było przeszło 80 (niemieckich 9); po Komunii św. byli na śniadaniu u nas. Musieli chłopcy i dziewczęta przyrzekać od wódki i palenia cygar do 20-go roku życia. Wódka, pijaństwo i tu między naszym ludem rozpowszechnione; przy każdej sposobności uderzam na nie; pijacy mnie się boją, żebym na nich nie krzyczał; wenda Bizewskiego jest w niedzielę po sumie (i w czasie sumy) zamknięta.

Rozpocząłem już na dobre pracę społeczną między polskim ludem. Zacząłem od cnoty i pobożności: jeszcze zeszłego roku założyłem żywy różaniec dla wszystkich w Guarany i Rio Vermelho; rozszerzam cześć Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, cześć Matki Boskiej od Cudownego Medalika; w Rio Vermelho będzie ołtarz główny w naszym kościele Jej poświęcony, a u nas ołtarz boczny. Popieram arcybractwo Najsłodszego Serca Jezusowego przez „Intencye miesięczne“ i „Głosy katolickie“, które z Krakowa od OO. Jezuitów sprowadzam. Nie zapomniałem i o oświacie ludu naszego, założyłem w tym celu „Towarzystwo Oświaty Ludowej“, dla którego napisałem statuty; każdy miejscowy proboszcz ma być według statutów jego prezesem; inni członkowie zarządu są wybieralni. Już się kilkunastu członków do Towarzystwa zapisało. Staram się i o szkoły ludowe, choć sprawa to bardzo trudna, napotyka na liczne trudności, (zwłaszcza finansowe i brak nauczycieli), rwie się. Szkoda, że nie mam miejsca o niej obszernie pisać. Nauczyciela Krzesińskiego w Massarandubie już nie zastaliśmy: poszedł za przykładem swych licznych towarzyszy.

Mamy tu gospodarstwo już pięknie założone i urządzone; na pastwisku dla krowy i konia źródełko, stawek; dom, choć ze starych belek, przecież wewnątrz i zewnątrz wybielony, wygląda wcale przyzwoicie; w pobliżu rzeczkę, w której dobra kąpiel i t. p. — Już jednem słowem nie mamy tej biedy, co przed Nowym Rokiem. — Wogóle porządek, jaki mamy koło domu i w kościele, ludziom się bardzo podoba“.

Ś. p. Siostra Marya Mauche,

Matka Generalna SS. Miłosierdzia.

Dnia 11 stycznia b. r. zmarła w Paryżu w domu Macierzystym SS. Miłosierdzia S. Marya Mauche, od 16 maja 1910 Przełożona generalna Zgromadzenia. — Dziennik l'Univers zamieścił w numerze z 13 stycznia następujące słowa Dra Brochin:

„Dwadzieścia dwa miesiące temu umierała w domu Macierzystym SS. Miłosierdzia Matka Kieffer, po krótkiej chorobie spowodowanej wyczerpaniem z powodu nawału przeciążającej pracy i trosk nieustannych o spełnienie obowiązku. Zmarła na posterunku. Przy łożu umierającej czuwała Siostra Mauche, wówczas Asystentka generalna, a wkrótce potem wybrana w jej miejsce Przełożoną generalną. I ona właśnie padła pod ciężarem tychsamych trudów. — Nie wiedzieć, co bardziej podziwiać w tych świątobliwych osobach, czy ich niestrudzoną energię w pracy czy poświęcenie dla Zgromadzenia czy chrześcijańską rezygnacyę w obliczu śmierci. — Pięć dni temu Matka Mauche, choć wyczerpana trudami i upadająca na siłach, choć bardzo już cierpiąca, wstała o godzinie czwartej, by pierwsza stanąć w kaplicy na pacierze poranne o $4^1/_2$. Zaledwie zaczęła modlitwy dała znak swej Asystentce, by dalej przewodniczyła, a sama padła na ławce omdlała. Przeniesiona do mieszkania spostrzegła, że te same u niej zachodzą objawy, co u Matki Kieffer, i oświadczyła z uśmiechem, że wkrótce pójdzie za nią.

„Wielka to strata dla Zgromadzenia SS. Miłosierdzia wielka strata dla tych, co ją znali zblizka i umieli ocenić wielkie zalety jej serca i umysłu, wielka strata dla wszystkich

nieszczęśliwych, którym niosła pomoc w ukryciu i z zadziwiającą skromnością. Wzniosły to przykład dla nas w tych świątobliwych służebnicach Bożych, co w życiu swem jeden tylko widzą cel, jedno mają zadanie: czynić dobrze; a oddają temu posłannictwu wszystkie siły duszy i ciała, póki im tchu stanie; śmierci zaś spoglądają w oczy z uśmiechem na ustach, ze wzrokiem w niebo utkwionym!"

W tym samym dzienniku pisze dnia 16 stycznia gen. Récamier, co następuje:

„Dziś zrana odprawiało się w kaplicy domu Macierzystego przy ul. du Bac w Paryżu żałobne nabożeństwo za ś. p. S. Mauche, Przełożoną generalną SS. Miłosierdzia. Pogrzeb był nadzwyczaj skromny. Zwłoki wieziono na zwykłym karawanie ubogich, których zmarła ukochała tak bardzo i dla których poświęciła życie całe. Wielka ta prostota, brak wszelkiej okazałości zewnętrznej, jeszcze bardziej podnosił znaczenie i wyższość tej pokornej sługi Bożej, której ostatnią posługę oddawał w skupieniu liczny tłum ludzi poruszonych do głębi.

„S. Mauche była Przełożoną 30-tysięcznego zastępu córek św. Wincentego a Paulo, rozprószonych po całym świecie, których jedynym ideałem jest czynić dobrze wokoło, zwłaszcza słabym, chorym, wydziedziczonym, nędzarzom, bez względu na ich stan i osobę. Dowództwo nad taką armią niełatwą jest sprawą, lecz wskazówki św. Założyciela, skreślone z natchnienia Bożego, tak jasne są i pewne, że SS. Miłosierdzia są wszędzie ożywione tymsamym w zupełności duchem, pomimo różnic osobistych i różnorodnych zajęć i stanowisk. Przedziwne te reguły streszczają się wszystkie krótko w słowach: „Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie". Stąd to ta cześć, miłość i szacunek dla SS. Miłosierdzia, gdziekolwiek je poznają, nie tylko u chrześcijan, ale i u niewiernych.

„S. Marya Antonina Mauche urodziła się w r. 1845 w Tarascon. Do Zgromadzenia wstąpiła w r. 1866. Pierwszy posterunek miała w domu w Reuilly, następnie była przy semi-

naryum w domu Macierzystym, potem w Syennie we Włoszech. W r. 1879 powołano ją na przełożoną domu w Belleville, gdzie pozostawała aż do r. 1902. Dwukrotnie w tym czasie ją odwoływano, a ona natychmiast spieszyła za głosem przełożonych. Nie tak jednak powolnym okazał się lud w Belleville. Wysłano liczną deputacyę do domu Macierzystego SS. Miłosierdzia oraz do Przełożonego generalnego. Krok ten odniół skutek. S. Mauche dwukrotnie zawróciła z drogi z Turynu, by na wezwanie przełożonych wrócić do Belleville. Bo też miała szczególny dar pozyskiwania serc przez swą niezmierną dobroć i czułą troskliwość, jaką otaczała wszystkich pogrążonych w bólu, nędzy i cierpieniach. Gdy jeszcze jako młoda Siostra była w Reuilly, zamieniono dom ten w r. 1870 na ambulans wojenny, a jej przypadła w udziale jedna z sal z rannymi. Tak chorzy jak i lekarze nie wiedzieli jak wyrazić swój podziw dla jej niestrudzonego poświęcenia. Po wojnie chciano ją ozdobić krzyżem zasługi, ale przełożona odwiodła kierownika ambulansu od tego zamiaru uwagą, że przyprawiłoby to poczciwą S. Mauche o śmierć ze zmartwienia. Pracowała ona tylko dla Boga i w szczerości serca Jego tylko szukała. A to dodawało jej prostocie porywającego wszystkich uroku.

„W r. 1902 powołano ją z Belleville do Syenny na stanowisko wizytatorki. W sześć lat potem wybrano ją Asystentką generalną, a w r. 1910 generalną Przełożoną, po śmierci nieodżałowanej pamięci S. Kieffer.

„Nie będę wspominał o znamienitych zaletach, jakie roztaczała na tem trudnem stanowisku; chciałem tylko wyrazić jej córkom serdeczne współczucie, a ich Matce okazać cześć najgłębszą“.

Ś. p. Siostra Matylda Sumińska.

Dziennik Poznański z dnia 20 stycznia b. r. zamieścił następującą notatkę:

„Bóg w niezgłębionych swych wyrokach zabrał znowu społeczeństwu naszemu osobę, która w cichości z powołania swego działała, niemniej przecież wybitne zdobywała zasługi. Dnia 18 stycznia zakończyła doczesny swój żywot Siostra Matylda Sumińska, przełożona zakładu Sióstr Miłosierdzia przy Bernadyńskim placu.

„Zakład ten, przeznaczony dla chorych, pod umiejętną opieką lekarzy, a kierownictwem pełnem poświęcenia Sióstr przełożonych, obsługiwany przez Siostry Miłosierdzia, właśnie za czasów Siostry Matyldy tak się rozwinął, że trzeba było budowę nowego skrzydła rozszerzyć, aby miejsce stworzyć dla coraz to nowych chorych, a przedewszystkiem zaopatrzyć go w najnowsze środki lecznicze. Jedna to przecież tylko i to z ostatnich zasług ś p. Siostry Sumińskiej. Jeśli bowiem pod koniec życia miała sposobność z powołania swego poświęcić się w osobliwszy sposób trosce o chorych i podwładne sobie Siostry, to z początku życia zakonnego znowu oddawała się z całem zamiłowaniem wychowaniu młodzieży żeńskiej.

„Urodzona 1839 r. pod Toruniem, otrzymała gruntowne wykształcenie. Idąc za głosem Bożym, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Objęła niebawem w Kościerzynie kierownictwo chlubnie w dziejach naszego społeczeństwa zapisanego pensyonatu żeńskiego. Stanowisko to opuścić musiała, skoro z rozpoczętą walką kulturną zakładowi odebraną została cecha zakonna, bo Siostry Miłosierdzia

usunięto. Po krótkim pobycie przejściowym w Poznaniu odwołano ś. p. Siostrę Matyldę do Chełmna na urząd sekretarki przy Siostrze Wizytatorce. Niedługo potem przeszła znowu do życia praktycznego miłosierdzia, kiedy została kierowniczką zakładu chorych w Pelplinie. Stamtąd przybyła do Poznania w r. 1895, aby po 17 latach przełożeństwa oddać swą czystą duszę Panu najwyższemu.

„Nie zaznała Zmarła i nie chciała nigdy zaznać tego, co zowiemy miłością własną. Po za troską o szczęście swej duszy, oddawała się zupełnie na usługi innych, a pomimo podeszłego wieku do ostatnich chwil nie zapomniała o raz przyjętych obowiązkach. W obrębie zakresu swych zajęć czynem stwierdzała, jak dopełnić myśli Bożej, zogniskowanej w tym jednym wyrazie: miłość dla Boga i przez Boga. Zdobna zasługami miłości, oby jak najrychlej wstąpiła w progi niezamąconego szczęścia wiecznego, którego istotą przecież nic znówu innego jeno miłość prawdziwa Boga i w Bogu“.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Józef Piazzoli, 17 stycznia w Neapolu; żył lat 84, w Zgromadzeniu 67.

Ks Franciszek Giorello, 23 stycznia w Casale (prow. turyńska); żył lat 84, w Zgrom. 67.

Ks. Artur Reed, 9 stycznia w Denver (St. Zjedn., prow. zachodnia); żył lat 31, w Zgrom. 11.

Ks. Akwilin Valdivielso, 3 lutego w Madrycie; żył lat 86, w Zgrom. 56.

Br. Leonard Koch, 5 lutego w Helsingör (Dania); żył lat 63, w Zgrom. 45.

Br. Amabilis Vérillon, 12 lutego w Santorin (prow. konstantynopolitańska); żył lat 81, w Zgrom 37.

Ks. Eugeniusz Courandière, 22 lutego w Tebriz (Persya); żył lat 38, w Zgrom. 19.

Ks. Henryk Grenier, 7 marca w Marsylii, żył lat 77, w Zgrom. 43.

Ks. Piotr Dehaene, 15 marca w Rio de Janeiro; żył lat 59, w Zgrom. 33.

Ks. Leon Burgos, 13 marca w Madrycie; żył lat 62, w Zgrom. 42.

Ks. Augustyn Oneto, 20 marca w Turynie; żył lat 42, w Zgrom. 18.

Br. Abdon Quintero, 10 lutego w Quito; żył lat 57, w Zgrom. 20.

Br. Józef Vaz Grancho, 20 kwietnia w Dax; żył lat 69, w Zgrom. 37.

Ks. Franciszek Brayda, 18 kwietnia w Neapolu; żył lat 67, w Zgrom. 51.

Brat Michał Chiha, 29 kwietnia w Anturze (Syrya); żył lat 81, w Zgrom, 54.

Ks. Józef Koudelka, 5 maja w Eggenburg (prow. austryacka); żył lat 50, w Zgrom. 14.

Ks. Emil Cappelaere, 8 maja w Pernambuco (prow. brazylijska); żył lat 57, w Zgrom. 35.

Ks. Klaudyusz Louat, 12 maja w Szaoszing (Chiny); żył lat 47, w Zgrom. 23.

Ks. Jógef Sabatès, 12 maja w Palma (Majorka, prow. barcelońska); żył lat 56, w Zgrom. 32.

R. i. p.